

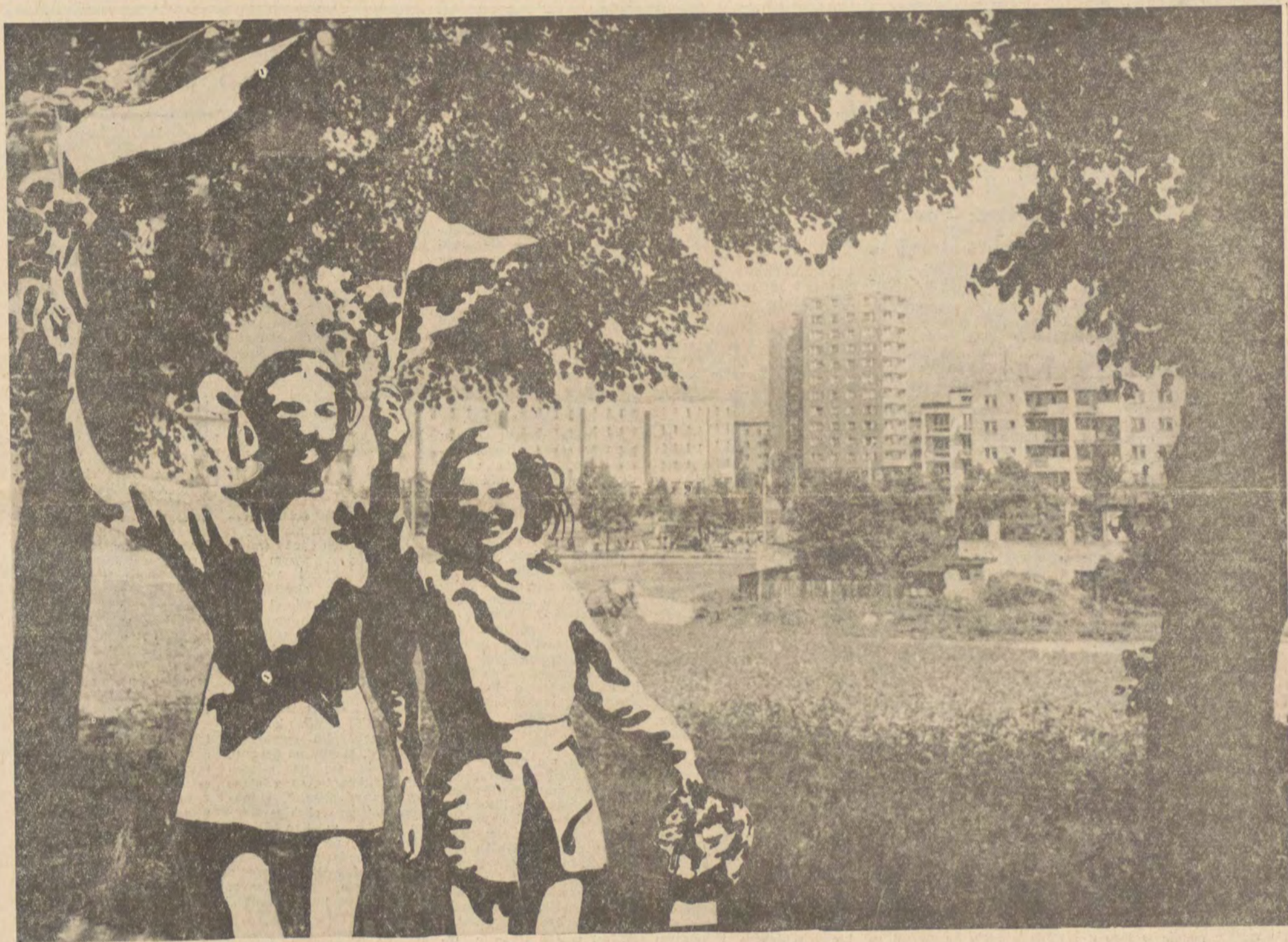
22 Lipca – Święto Odrodzenia

ODGŁOSY



30 (714)
25. VII. 1971 r.
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



Fot. W. Parys i A. Grun

SPRAWY PILNE I NAJWAŻNIEJSZE

Rozmowa z I Sekretarzem Komitetu Łódzkiego PZPR
— Tow. BOLESŁAWEM KOPERSKIM

ODGŁOSY: Towarzyszu Sekretarzu, 17 lutego 1971 roku objęliście funkcję I Sekretarza KL PZPR. Od tego czasu minęło pięć miesięcy. Okres to niewielki, ale brzemienny w decyzje, zmierzające do odnowy i polepszenia życia w naszym kraju. Jak Towarzysz Sekretarz ocenia ten okres z łódzkiej perspektywy?

Tow. BOLESŁAW KOPERSKI: Jest to, co prawda, okres krótki, ale okres, który można by uznać za szczególnie twórczy. Oceniam to na podstawie pracy kolektywów Komitetu Łódzkiego PZPR, Rady Narodowej i wielu, wielu zakładów pracy i instytucji. W ciągu pięciu miesięcy nie marnowaliśmy czasu. Powołanie Komisji Partyjno-Rządowej dla spraw Łodzi stało się bodźcem w naszej pra-

cy i pomocą w planowaniu modernizacji i rekonstrukcji zarówno przemysłu jak i miasta. Najważniejsze dla nas dzisiaj, abyśmy utrzymali tempo pracy, oraz, abyśmy włączyli do realizacji zakrojonych szeroko zadań, jak najliczniejsze kręgi obywateli naszego miasta, gdyż tylko wspólnym wysiłkiem nas wszystkich możemy przyczynić się do postępujących szybko zmian, poprawy warunków pracy i życia. Na przestrzeni tych kilku miesięcy nastąpiła pewna poprawa stopy życiowej. W rozmowach z ludźmi utwierdzam się w przekonaniu, że ludziom żyje się teraz lepiej, niż jeszcze do niedawna. I chcielibyśmy, ażeby mieszkańcom naszego miasta żyło się coraz lepiej. Ale nie będzie chyba przesady, jeśli powiem, że zależy to od wysiłku całego naszego społeczeństwa.

ODGŁOSY: Przemysł włókienniczy, a zwłaszcza bawelniany, ma poważne zaniedbania. Towarzysz sam określił niedawno ten stan rzeczy jako zacofany. Co zrobiono i co się będzie robić, aby usunąć te zaniedbania i przyspieszyć poprawę sytuacji?

Tow. BOLESŁAW KOPERSKI: Przemysł łódzki w ogóle a przemysł włókienniczy w szczególności, wymaga dużej modernizacji, zaś niektóre zakłady wymagają odtworzenia, to znaczy zbudowania tego samego zakładu w innym punkcie miasta, z całkowicie unowocześnionym parkiem maszynowym. W ramach zadań inwestycyjnych przewidujemy zakończenie i budowę takich zakładów jak na przykład: „Polanił”, „Olimpia II”, Teofilów, Fabryka Maszyn Dziewiarskich, „Włosna Ludów”, „Elester” i inne. Obok wymienionych wyżej zakładów ważną inwestycją dla naszego miasta jest budowa Fabryki Domów, która rozpocznie produkcję jeszcze w grudniu bieżącego roku. Procesowi modernizacji zakładów musi dotrzymać kroku przygotowanie odpowiednio wykwalifikowanych kadr. Jest to niezmiernie ważne zadanie dla łódzkiego szkolnictwa zawodowego na średnim i wyższym szczeblu. Warunki pracy i wysokość zarobków ulegną z pewnością poprawie, jeśli cele, które sobie zakreślamy, zostaną osiągnięte. Pragnę podkreślić, że we wszystkich naszych zamierzeniach nie zapominamy o dużej ilości kobiet, zatrudnionych w przemyśle włókienniczym. Komitet Łódzki Partii wraz z Radą Narodową dążą do ulżenia pracy i życiu kobiet

Dalszy ciąg na str. 2

SPRAWY PILNE I NAJWAŻNIEJSZE

(Dalszy ciąg ze str. 1)

przez polepszenie świadczeń (np. kolonie letnie dla dzieci), a także przez lepszą organizację handlu i zaopatrzenia.

ODGŁOSY: Towarzyszu Sekretarzu, po paru latach pracy w stolicy, a następnie na placówce zagranicznej, powróciliście znowu do Łodzi. Jak, po latach nieobecności, przedstawia się Wam nasze miasto?

Tow. BOLESŁAW KOPERSKI: Miastu rodzinnemu, miastu mojej młodości wiele się wybacza, nie dostrzega się jego wad i braków nawet wtedy, jeśli widzi się rzeczy nowe i ładniejsze gdzie indziej. Podobnie jak zakochany nie dostrzega wad u wybranki swego serca. Ale obowiązki zmuszają mnie niejako do tego, aby dostrzegać istniejące niedostatki i braki w naszym mieście, i to dostrzegać w spo-

sób ostry, aby te niedostatki i braki usuwać z naszego życia. Obok bezspornych osiągnięć napotyka się zjawiska, z którymi obywatelom trudno się pogodzić. Na przykład: obsługa w handlu, tak jeszcze niedoskonała, budząca tyle zastrzeżeń. Muszę powiedzieć, że w tej chwili jako człowiek w Łodzi mało znany, obsługiwany jestem często źle. Zapewne, jak się dowiedzą, że mają do czynienia z sekretarzem partii, obsługiwany będę lepiej. Ale czy będzie to rzeczywisty obraz sytuacji? Mam jednak nadzieję, że nastąpi poprawa i coraz mniej będzie narzekać na obsługę w naszym handlu.

ODGŁOSY: Może jeszcze kilka słów na tematy kulturalne. Jak Towarzysz Sekretarz ocenia możliwości twórcze naszych środowisk kulturalnych, ich osiągnięcia i słabości?

Tow. BOLESŁAW KOPERSKI: Łódź jest znaczącym w Polsce ośrodkiem kulturalnym, ośrodkiem, który, przewyższając swoje kompleksy i niedostatki, coraz bardziej uaktywnia

się i wzmacnia swoją pozycję na mapie kulturalnej Polski. Łódź dorobiła się już stałych dorocznych imprez o charakterze ogólnopolskim (nawet z udziałem gości zagranicznych), jak Wiosna Artystyczna, Festiwal Poetycki, Spotkania Baletowe czy Przeglądy Filmów Naukowych i Dydaktycznych. Imprezy te stanowią widomy przegląd osiągnięć i są podsumowaniem tego, co w dziedzinie kultury u nas się dzieje. Nasze miasto posiada również pokaźny dorobek w zakresie tkactwa artystycznego, które kultywuje i eksponuje Muzeum Historii Włókiennictwa. Mamy znanych i utalentowanych plastyków i pisarzy, uczonych i artystów, mamy kilka scen dramatycznych, prowadzimy wymianę z zagranicą, która sprzyja propagowaniu naszej kultury narodowej i osiągnięć Łodzi w szerokim świecie. Podkreślić należy, że od twórców przede wszystkim zależy będzie program i poziom jego wykonania. Na przykład w teatrach: im lepszy będzie repertuar i jego realizacja, tym większą zdobyczą sobie one będą odbiorców, bez potrzeby uciekania się do zabiegów organizacyjnych, choć i tych lekceważyć nie należy. Moje obserwacje wskazują, że mieszkańcy naszego miasta łakną bliskiej sobie, a zarazem dobrej sztuki. Wyrażam głębokie przekonanie, że łódzkie środowiska artystyczne stać na to, aby tworzone przez nie wartości zdobywały sobie coraz większe znaczenie i popularność.

Rozmowę przeprowadził:

JAN KOPROWSKI

Zewsząd o wszystkim

Zewsząd o wszystkim

Zewsząd o wszystkim

Zmierzch inspektora Maigreta

„OBSERVER” — LONDYN

Georges Simenon pisze cztery powieści rocznie. Pomysł rodzi się w trudzie i dojrzewa długo, lecz samo pisanie utworu zabiera mu osiem dni. Po napisaniu książki Simenon wygląda, jakby przeżył ciężką i długotrwałą chorobę.

Cieszy się opinią jednego z najpopularniejszych i najplodniejszych pisarzy naszych czasów. Obok 207 powieści, które ukazały się pod jego prawdziwym nazwiskiem (większość nie jest powieściami kryminalnymi) i 208 podpisanymi pseudonimami, Simenon napisał jeszcze około 1500 nowel i opowiadań. Twórca komisara Maigreta oraz szeregu utworów literackich, które nazywa „prawdziwymi powieściami” (w odróżnieniu od powieści kryminalnych), zawiera umowy z sześcioma wydawcami jednocześnie, którzy wypuszczają jego książki w szeroki świat. W pewnym czasopiśmie literackim opublikowano jednocześnie sześć „simenonów” pod różnymi pseudonimami, a w 1928 roku spod pióra pisarza wyszło 40 książek, w tym jedna powieść napisana w ciągu 25 godzin! Choć Simenon szczył się z znajomością chemii i psychologii, nie potrafi do dziś wyjaśnić fenomenu tej eksplozji twórczej.

Georges Simenon mieszka w małym szwajcarskim miasteczku Epalinges, w górach, otaczających Lozannę. Wszystkie pokoje w jego ustrojonej willi są izolowane od dźwięków. W części domu, w której stale pracuje, znajdują się dwa gabinety („nie mogę pisać powieści tam, gdzie zawieram kontrakty”), pokoje dla dwóch sekretarek oraz biblioteka z piętnastoma tysiącami „sime-

nonów”, w przekładach na różne języki świata.

W przestronnej pracowni pisarskiej — mnóstwo książek z zakresu biologii, psychologii i medycyny. Na jednej ze ścian wisi mapa miasta, w którym rozgrywa się akcja jego ostatniej książki, „Bogacz”, (jest to 129, niedetektywistyczna powieść Simenona), a na drugiej — duży kalendarz, na którym dopiero co zakreślił pisarz czarnym atramentem osiem dni, które zajęło mu napisanie tej książki.

Kiedy Simenon czuje, że powieść nad którą pracuje, „ruszyła z miejsca”, popada — jak to określa — w stan „oderwania”. „Staram się o niczym nie myśleć, dużo chodzę, gram w golfa. Później zaczynam powoli krążyć myślami wokół struktury powieści i kiedy już ją „czuję”, oglądam dokładnie moich bohaterów. Wszystkie te przemyślenia notuję bardzo zwięźle, dołączając do nich nazwiska bohaterów, ich personalia, wiek, adresy i numery telefonów. Tego dnia z nikim nie rozmawiam. Następnego ranka zaczynam...”

Czy oznacza to, iż Simenon nie ma jeszcze skonkretyzowanego tematu, gdy zasiada do pisania nowej książki? „Oczywiście, że nie mam — mówi pisarz. — Nie wiem jeszcze w szczególności, co się wydarzy, znam tylko sytuację i nazwiska występujących postaci. Stają się jakby jedną z nich, zazwyczaj uosabiam się z bohaterem powieści. Żyję jego przeżyciami i w ciągu ośmiu dni sam dochodzę do zakończenia. W tym momencie nie jestem już Georgesem Simenonem, a kimś zupełnie innym”.

Simenon pisze na maszynie dwoma palcami, ale bar-

dzo szybko i bez błędów. przerywa tylko w chwilach, kiedy sięga po fajkę. Rządziej, żeby wnieść poprawkę. Zasiada do pracy o szóstej trzydziści, o dziewiętej trzydziści kosztuje ma mokra od potu. Ale pierwszy, dwudziestostronicowy rozdział powieści jest napisany. Tego dnia Simenon więcej nie pracuje. Cała powieść jest gotowa do druku w ciągu ośmiu dni plus jeden lub dwa dni na korektę, polegającą na bezlitosnym wykreślaniu zbędnych przysłówków i przymiotników.

W minionych latach Simenon mógł wytrzymać tak długo 11-, 12-dniowe tempo pracy, dziś to wielkie napięcie twórcze rozładowuje w tydzień. Jeśli w trakcie pisania utworu literackiego cokolwiek zmusi go do przzerwiania i odłożenia pracy — nigdy już do niej nie wraca.

„Kiedy kończę powieść — mówi pisarz — cieszę się, ale już po miesiącu, czy półtora, zaczyna mi czegoś brakować. Coraz bardziej i bardziej czuję się nie w swoim sosie. Rodzi się nowa powieść”.

Georges Simenon urodził się 68 lat temu w Liege, szarym, belgijskim mieście przemysłowym. W szkole czytał i pisał nauczył się w ciągu dwóch tygodni. Po śmierci ojca 15-letni Georges musiał zarabiać na życie. Któregoś dnia pożyczyciel kolegi porządnie ubranie, poszedł do redakcji „Gazette de Liege” i „namówił” redaktora naczelnego, aby go przyjął do działu kroniki policyjnej. Praca reportera zetknęła go ze światem niebieskich ptaków i nocnym życiem miasta, co w konsekwencji nasunęło mu temat do jego pierwszej powieści. Simenon usiadł do maszyny i w ciągu dziesięciu dni książka była gotowa. Mając 19 lat żeni się i, zdecydowany zostać pisarzem, jedzie do Paryża. W owych latach

redaktorem literackim jednego z czasopism paryskich była znana pisarka francuska, S. Gabrielle Colette. „Przyniosłem jej dwa opowiadania — snuje wspomnienia Simenon — ale zwróciła mi je, mówiąc, że są zbyt literackie. Przyniosłem jeszcze jedno, ale i tym razem obwiniała mnie o „literaturzenie”. Gdy przyniosłem wreszcie czwarte — przyjęła je. „Mój maly Simie — powiedziała przy tym Colette — pisz prościej. Zawsze unikaj czysto literackich efektów. Używaj tylko najbardziej niezbędnych słów”.

Ta rada pisarki leży u podstaw precyzyjnego, żywego, porwijającego swoim dynamizmem stylu Simenona. Jego utwór są napisane tak dobrze, że nie da się w nich nic „poprawić na lepiej”.

Nieustanne dążenie Simenona do napisania czegoś, co — jak sam określa — byłoby dziełem o „nieprzemijającej wartości”, prowadzi go stopniowo od powieści detektywistycznej do najbardziej wartościowego etapu w jego twórczości — do krótkich powieści o ludziach, przeżywających głębokie załamania duchowe. Nazywa te utwory „powieściami przesilenia”.

Simenon nie czytuje żadnych utworów literackich. Mówi, że, mimo woli, mógłby kopiować ich idee i — jak wyznał — boi się, że zły utwór pobudzi w nim próżność, a dobry — głęboką rozpacz. Zamiast prozy i poezji czytuje książki i rozprawy z zakresu psychologii i medycyny. Nigdy nie rozmawia o polityce i religii.

„Jest wielką tragedią pisarza — mówi Simenon — że umieramy, nie wiedząc, czy udało nam się napisać coś wartościowego, czy też nie...”

Obecnie Georges Simenon pisuje „dwa maigrety” rocznie i nie traktuje tej twórczości poważnie...

Nowy eliksir życia

„BUSINESS WEEK” — NOWY JORK

„W czasie, gdy jakość wody stale się pogarsza i gdy staje się ona coraz mniej przydatna do picia i kąpiei, nasza firma wypuściła na rynek nowy produkt — czystą wodę źródłaną w specjalnym opakowaniu. Można jej używać wielokrotnie do odświeżania wędnącej skóry twarzy” — głosi reklamowy prospekt jednej z kompanii. Mimo solidnej ceny — 300-gramowy balonik wody kosztuje pięć dolarów — towar na ładach nie leży.

Dziś można już śmiało mówić o prawdziwym „biznesie na czystej wodzie”, który wprost eksplodował w USA. Coraz więcej sklepów spożywczych sprzedaje wodę w butelkach, poczynając od „wodociągowej wody specjalnie oczyszczonej”, (20 centów za 0,94 litra), a na „wysokogatunkowej wodzie źródłanej” (kosztuje drożej: od 45 do 65 centów) kończąc. Na zachodnim wybrzeżu USA, jak grzyby po deszczu, pojawiają się na ulicach miast automaty, sprzedające ów cenny „eliksir”. Członkom pewnego ekskluzywnego klubu w San Diego, oczywiście po odpowiednio wysokiej opłacie, stwarza się nawet możliwość popływania w basenie, napełnionym czystą wodą butelkowaną...

Handel „czystą wodą” rozrasta się błyskawicznie, a tempo wzrostu jej produkcji wynosi 15 do 20 proc. rocznie. O ile kiedyś czystą wodę butelkowaną wypuszczali na rynek wyłącznie małe firmy, o tyle dziś jej wytwarzaniem zainteresowały się wielkie kompanie, które toczą ostrą walkę konkurencyjną o rynek zbytu. Koncern „Coca-Cola” kupił niedawno duże zakłady przemysłowe, produkujące czystą wodę butelkowaną w Massachusetts, na Florydzie i w Nowym Jorku. Na amerykański rynek rzuciły również swe wyroby zagraniczne kompanie, jak na przykład kompania kanadyjska, która upłynnia swą produkcję w Berkeley w Kalifornii. W amerykańskich magazynach pojawia się „woda źródłana” nawet z Francji.

Czym należy tłumaczyć ten gwałtowny boom w handlu czystą wodą? Przede wszystkim stałym pogarszaniem się jakości wody z amerykańskich systemów wodociągowych — odpowiadają specjalści. Problem ten występuje najostrej w południowej Kalifornii, gdzie co szósty mieszkaniec tego stanu kupuje wodę butelkowaną.

Zewsząd o wszystkim

Listy DO REDAKCJI

W związku z felietonem Józefa Grzelaka „Walka o dobra Kultury” (Odgłosy, nr 15, 1971) otrzymaliśmy z Ministerstwa Kultury i Sztuki kopię pisma skierowanego do Państwowego

Institutu Wydawniczego, następującej treści:

„W książce pt. „Walka o dobra Kultury. Warszawa 1939—1945” (PIW — 1970) zamieszczono informację wg której „...po likwidacji Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków w r. 1951 przestało istnieć i Biuro Rewindykacji i Odszkodowań w dziedzinie kultury. Archiwów Biura nie udało się obecnie odnaleźć”.

W oparciu o te informacje Redakcja „Odgłosów” — w artykule Józefa Grzelaka pt. „Przeszłość i teraźniejszość” — stawia pytanie „...co stało się z bezcenną dokumentacją polskiej walki o ocalenie dóbr narodowej kultury... jacy ludzie i dlaczego ją zaprzepaścili”.

W związku z tym Ministerstwo Kultury i Sztuki — Zarząd Muzeów i Ochrony Zaby-

tków stwierdza, że wyżej wymieniona informacja, zamieszczona we wspomnianej w wstępie książce PIW — jest niezgodna ze stanem faktycznym.

Dokumentację b. Biura Rewindykacji i Odszkodowań w dziedzinie kultury przejął — po likwidacji tego Biura — obecny Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków i przechował ją do dnia 25 listopada 1963 r. W dniu tym całość przejętych materiałów została przekazana protokołem zdawczo-odbiorczym nr 387 — Składowicy Akt Ministerstwa Kultury i Sztuki, która w dniu 9 października 1970 r. skierowała je — zgodnie z obowiązującymi przepisami — do Archiwum Akt Nowych w Warszawie, gdzie są one udostępniane zainteresowanym na zasadach stosowanych w tego typu placówkach.

Na akta b. Biura Rewindykacji i Odszkodowań składa się zawartość 283 teczek (ok. 3 mb). Dokumentacja ta usystematyzowana jest wg działów zatytułowanych: I. Administracja, II. Ewidencja strat, III. Materiały dowodowe, IV. Akcja rewindykacyjna i inne.

Dla orientacji przykładowo podajemy, że wśród 191 pozycji tych archiwaliów znajdują się m.in.: Dzieła sztuki z Zamku Królewskiego w Warszawie, Spis szkół materialnych w zakresie polskiej kultury artystycznej, Księgozbiory, Pomniki, Straty wojenne muzeów i zbiorów publicznych, Kwestionariusze strat i zniszczeń w zakresie dzieł sztuki i zabytków kultury, Straty w architekturze, Dowody wywołania przez Niemców polskich zabytków kulturalnych, a także fotografie, spisy i katalogi.

W tym stanie rzeczy Minister-

stwo Kultury i Sztuki — Zarząd Muzeów i Ochrony Zabytków uprzejmie prosi o spowolnienie, by w następnych wydaniach książki „Walka o dobra Kultury. Warszawa 1939—1945” zostały usunięte błędne informacje oraz uwzględnione wyżej podane fakty.

Wicedyrektor Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków Stanisław Brzostowski

Wyjaśnienie Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków rozproszyło nasze obawy o losy dokumentacji walki o ocalenie dóbr kulturalnych w latach okupacji. Nikt jej nie za-

przeapścił i znajduje się ona we właściwym miejscu. Informacja o jej bogatej zawartości zachęci wszystkich zainteresowanych badaczy do jej naukowego wykorzystania. Na pytanie, postawione przez felietonistę, otrzymaliśmy wyczerpującą i autorytatywną odpowiedź. Nie jest już naszą sprawą, jak doszło do tego, że o losach tych cennych materiałów nie dowiedzieli się autor wstępu do wydawnictwa „Walka o dobra Kultury. Warszawa 1939—1945”, którym jest jeden z naszych najwybitniejszych uczonych i działaczy kultury.

JÓZEF GRZELAK

NIE podał mi ręki. Przysiadł na skraju ławy w brudnej, wilgotnej palarni i cmił papierosa, waląc z dymem swoje żale. Były tam sprawy ogólne, na które nie miał wpływu: grudzień w drugiej i trzeciej dekadzie; polityka, ekonomia, obyczaj... Ale były tam również sprawy szczególne, które znał od podszewki, bo dotyczyły się jego zakładu.

Zawrócił czas o kilkanaście miesięcy.

Mówił:
— Najpierw przychodził cynk z góry, że przyjadą. Później Zjednoczenie dawało rozkaz: WSZYSTKIE PARY TAŃCZA! No i tak było. Kiedy do hal wchodził towarzysze z Biura Politycznego, grały wszystkie maszyny, przerabiając nieraz przędzę z odpadów. Na oko wyglądało to fajnie. Dużo szumu i biegania. Dyrektorzy trzymali uśmiech i powiewali eksportowymi bluzkami. Ale jak towarzysze opuszczali fabrykę, niektórzy maszyny momentalnie stawały, bo nie było przecież surowca, a jak był, to nadawał się do zwrotu. I myśmy wiedzieli, że ktoś tu z kogoś wystrząsał wariata, że ktoś komuś zamydlił oczy, urządzając mały pokaz sprawności produkcyjnej zagranicznych automatów, zamiast odważnie przedstawić nasze trudności, wytłumaczyć, jak to jest właściwie z tym bistorem, modylonem, anilaną...

1.

PRZENOSZĘ się do gabinetu Jana Krzemieniewskiego, który w Łódzkiej Zakładach Przemysłu Dzwoniarskiego „Olimpia” kieruje Wydziałem Produkcji Podstawowej.

Mówił:
— Bistor otrzymujemy z łódzkiej zakładu „Syntex”. Modylon przychodzi z Gorzowa. Anilanę barwioną, wykurzoną dostarcza nam przede wszystkim sosnowiecki „Intertex”. Najgorzej jest z bistorem. Od wielu miesięcy, czyli od chwili, kiedy „Syntex” rozpoczął produkcję, Łowicz zarzuca „Olimpię” normalnym szmelcem. Z modylonem i anilaną też są duże kłopoty. Zarówno Gorzów jak i Sosnowiec nie mają dostatecznej mocy produkcyjnej: przędza wychodzi stamtąd w motkach i trafia do nas okrytą drogą, poprzez sieradzka „Sire”, bartoszycka „Morenie” i wiele innych przedsiębiorstw, które ją przewijają na cewki. Taka wędrówka jest dla niej szkodliwa.

Siedzę w Komitecie Zakładowym Partii. Rozmawiam z sekretarzami tej organizacji: Jerzym Czerwińskim i Michałem Strzeleckim. Ich kadencja zaczęła się półtora roku temu. Tworzą jeden z najmłodszych aktywów KZ w kraju; długo terminowali w produkcji; w czasie wydarzeń grudniowych do późnych godzin wieczornych przesiadywali w fabryce, informując robotników o przebiegu wystąpień na Wybrzeżu. Zdobyli sobie zaufanie załogi.

Mówią:
— Jakość surowca to tylko jedna strona medalu. Bo przecież równie źle jest z jego dostawą. Więc jak tu realizować wyrubowane, narzucone nam przez Zjednoczenie plany? Postanowiliśmy zawalczyć na własną rękę i wkroczyliśmy w kompetencje administracji, w której zresztą niedługo po tym odbyły się duże przetasowania: oprócz dyrektora do spraw handlu, wszyscy inni dyrektorzy, nie wyłączając naczelnego, zostali odwołani ze swoich stanowisk podczas jesiennej, ubiegłorocznej, na pewno słusznej akcji Komitetu Łódzkiego i Wojewódzkiego Partii, polegającej na potrząśnięciu kilkudziesięcioma zasiadającymi od lat fotelami w różnych przedsiębior-

stwach miejskich i terenowych. Zwołaliśmy więc w październiku ubiegłego roku dwie egzekutywy z naszymi kooperantami z Sosnowca, Bartoszyca i Łowicza, w których wzięli udział towarzysze z Komitetu Dzielnicowego oraz specjalnie na tę okazję zaproszeni przedstawiciele Zjednoczenia. Walliliśmy sobie prawdę W ŻYWE OCZY! Udowodniliśmy, że anilana wyprodukowana w Sosnowcu i przewinięta w Bartoszycach nie odpowiada warunkom umowy, że łódzki bistor nie nadaje się do naszych potrzeb eksportowych. Kooperanci bronili się jak mogli. Najlepiej udało się to Sosnowcowi. Jeśli chodzi o Bartoszyca i Łowicz — ich tłumaczenia nikogo nie przekonały, więc na wniosek egzekutywy powołano komisję do zbadania procesów technologicznych i produkcyjnych w „Morenie” i „Interteksie”.

Wracam do brudnej, wilgotnej palarni. Rozmawiam z Kazimierzem Polakowskim, szeregowym kotoniarzem.

Mówił:
— Jasne, słyszeliśmy o tych naradach z kooperantami. Ale od tej pory upłynęły już całe miesiące i nic się nie zmieniło. Papieryska i gadanina nie zastąpią przędzy, a ta ciągle jest zła, i ciągle jej mało. U nas, na dzwoniarni, dzień w dzień odgrywa się ta sama szopka: biegniemy do okien lub na podwórko, żeby zobaczyć, czy samochody z Łowicza i Sieradza dowiozły surowiec. Jak dowiozły, to wszyscy się cieszą, że będzie robota, która gwarantuje każdemu kotoniarzowi od siedemnastu do osiemnastu złotych na godzinę. Jak nie dowiozły, to zalewa nas krew, bo wiadomo, że na wielu stanowiskach będzie postój, a w czasie postoju kotoniarz dostaje za godzinę jedenaście złotych. I wtedy zaczyna się przetargi z kierownictwem, które w czasie postojów ma prawo skierować część „bezrobotnych” do tak zwanych prac zastępczych i wypłacić im na tej podstawie średnią produkcyjną, a więc zamiast jedenastu — osiemnastu złotych. Ale tych prac zastępczych, polegających na czyszczeniu i oliwieniu maszyn, porządkowaniu magazynów, wywózce śniegu zimą i sprzątaniu hal latem, wystarcza tylko dla niektórych kotoniarzy. Inni siedzą beczynnie przy warsztatach, szarpają wąsy albo dębnią w nosie i narzekają na kierownictwo, bo jest przecież wyznaczony fundusz płac i jeśli jakimś kotoniarzowi podnosi się w sposób sztuczny — za babraniem się w śniegu albo machanie miotłą — zarobki, nie znajduje to żadnego pokrycia w efektach produkcyjnych, w masie towarowej i przedzej czy później zabiegi takie zemszczą się na całej załodze; będą opóźnione i zmniejszone premie, okrojona trzynasta pensja... W krytycznych chwilach stosuje się u nas manewr wypędzania ludzi na urlopy: „Jedź, bracie, odpoczniesz, średniej nie stracisz, a jak wrócisz, na pewno będzie dużo roboty i wyjdiesz na swoje”. Niektórzy dają się przekonać. Ale więcej jest takich, co nie chcą spędzać urlopu w lutym albo w marcu. Czekają na lato, na słońce i wcale im się nie dziwi, że teraz, w lipcu, chcieliby sobie pojechać na Wybrzeże. Ale to czekanie zimą przy często zatrzymujących się maszynach drogo ich nie raz kosztuje. Zarobki kotoniarzy skaczą i często człowiek zarobi tydzień złotych mniej niż przypuszczał, niż spodziewała się jego rodzina.

2.

„OLIMPIA” zdobyła sobie w Łodzi i w kraju duży rozgłos. Jej wyroby: bluzki, koszulki polo i golfy bez trudu znajdują nabywców za granicą — w Anglii, Norwegii, Kanadzie i Związku Radzieckim — natomiast odrzuty z eksportu, trafiające na rynek we-

wnętrzny są sprzedawane w sklepach spod lady; często z podmienioną metką znaleźć je można w komisach albo na bazarach.

„Olimpia” jest zakładem odwiedzanym chętnie przez czynniki oficjalne oraz najróżniejsze — krajowe i zagraniczne wycieczki, i — trzeba przyznać — godnie reprezentuje łódzki przemysł; mimo ciasnoty pomieszczeń i nie otykanych ścian widocznego z ulicy budynku konfekcji — w halach panuje porządek, rozwieszono oszczędnie hasła brzmia realistycznie, z zawieszonych u sufitu głośników — leci beatowa muzyka, z czego cieszą się młodzi dzwoniarze, natomiast starzy bluźnią, bo mają dosyć szumu wytwarzanego przez maszyny.

„Olimpia” służy także jako temat okazjonalnych laurów radia, telewizji oraz miejscowej i centralnej prasy. I tu załoga fabryki podnosi bunt. Ludzie, a jest ich blisko dwa i pół tysiąca, są do zakładu autentycznie przywiązani, uczuleni na każdą o nich wzmiankę, więc po każdej publikacji — mam nadzieję, że „Odgłosom” tym razem się upiecz-

ANDRZEJ
MAKOWIECKI

W żywe
oczy

— atakują Komitet, Dyрекcję i Radę Zakładową, zżymając się na nierzetelność informacji: a to kiedyś „Trybuna Ludu”, „obniżyła” o dziesięć procent ich osiągnięcia eksportowe, a to „Głos Robotniczy” (który zresztą lubią; fetowali w czerwcu jego święto) zarzucił im, bodając w marcu, niewykonalność planu kwartalnego, a to znowu w artykule o wybudowanym w czynnie społecznym ośrodku kąpielowym autor zapomniał dodać, że jest to dzieło i własność „Olimpii”. Zgłaszają także pod adresem prasy inne pretensje: „Protektoryjne klepanie w plecy nikogo nie zadawała. Przecież robotnicy nie są nakręconymi machinami. Potrafią myśleć. I to lepiej, niż się niektórym redaktorom wydaje. Gazety powinny nam pomagać, pisać o tym, co przeszkadza ludziom w pracy, choćby to miało ukazać się drukiem w radosnym dla nas wszystkich dniu 22 lipca. Mało jest takich narzmiących problemów?... Weźmy dla przykładu kwestię maszyn. „Olimpia” ma już za sobą dwie rewo-

lucje techniczne, podczas których przebranzowiono niemal całą załogę; były wtedy różne kursy, szkolenia, wielu dzwoniarzy sarkano, ale w końcu wyszło im to na korzyść — pracują dzisiaj na wydajnych, nowoczesnych automatach belgijskich, niemieckich i angielskich, które nie obniżyły im zarobków i podniosły jakość produkowanych towarów. Czy jednak proces modernizacji został przeprowadzony właściwie? Czy rzeczywiście jest zakończony?

— Mnie się wydaje, że nasze potknięcia produkcyjne tylko w siedemdziesięciu procentach zależą od złej jakości surowca — mówi zastępca kierownika dzwoniarni, Jerzy Dzierzbicki. — W niemającym stopniu nawalają również kotoniarze, mistrzowie, mechanicy. Ich znajomość struktury skomplikowanych automatów jest niedostateczna, za co zresztą nie ponoszą winy, gdyż nie mieli od kogo się nauczyć... Pamiętam jak to było, kiedy w „Olimpii” kilku Anglików instalowało „Bentley'e”. Nasi patrzyli im na ręce, a po godzinach pracy zapraszali ich na wódkę, żeby sobie pozyskać instruktorów, żeby na drugi dzień wydrzeć im parę technicznych tajemnic. Czy można to nazwać szkoleniem? Albo tacy mechanicy. Nawet kierownictwo zdziwione jest ich gorliwością i ambicją. Przecież oni za swoje pieniądze, nie nikomu nie mówiąc, kazali przetłumaczyć na język polski teksty zagranicznych instrukcji do nowych automatów. Chcą w ten sposób lepiej poznać maszynę, jej specyfikę, bo wiedzą, że od tego uzależnione są wyniki ich pracy, ich zarobki, premie, awanse... Ale przetłumaczenie instrukcji — bardzo zresztą powierzchownych, niedokładnych — nie rozwiązuje problemu.

— Co w takim razie rozwiązuje?
— Nie domyśla się pan?
— Nie.
— Zagraniczna praktyka.
— Słyszałem, że urządza się takie...
— Ana, Urządza...
I Dzierzbicki, lojalny wobec zakładu i Zjednoczenia, nabiera wody w usta.

Biegnę tym tropem.
Rozmawiam z robotnikami, mistrzami, członkami Rady Zakładowej i Komitetu. Owszem, są od czasu do czasu wyjazdy szkoleniowe do Włoch, Anglii i gdzie indziej. Ale kto jedzie? Jak będzie na przykład pięć miejsc, to z góry wiadomo, że pojedzie dwóch przedstawicieli Zjednoczenia, jeden z dyrektorów zakładu, jeden z tak zwanych zastępczych działaczy społecznych i tylko jeden potencjalny praktykant. Mamym zatem do czynienia z dwutygodniową wycieczką krajoznawczą, w czasie której zwiedza się knajpy, kabarety rewiowe, sklepy w handlowych dzielnicach, a na koniec, jeśli zostanie trochę siły, zakład produkcyjny.

— Takie wojaże nie przynoszą nam żadnej korzyści — mówi jeden z działaczy Rady Zakładowej. — Powinniśmy wysyłać przede wszystkim mistrzów, bo tylko oni potrafią przekazać załozdzie zdobyte w zagranicznych fabrykach doświadczenia oraz kotoniarzy i mechaników, którzy z importowanymi maszynami mają do czynienia na co dzień. Już nie raz przekonaliśmy się, że dzwoniarzy wysłany na zagranicę, choćby tylko trzytygodniową praktykę, jest po powrocie od nas wszystkich lepszy: z powodzeniem naucza kolegów, a nawet majstrów... Ale trzy tygodnie, to stanowczo za mało. Dlaczego nie bierzemy przykładu z Rosjan? Oni wysyłają swoich ludzi do kapitalistycznych fabryk na rok, albo i dwa. I to z rodzinami. Nie żałują na te cele pieniędzy, bo wiedzą, że w ostatecznym rozrachunku przyniesie im to wielką korzyść. I tak jest. Radziecki mechanik czy kotoniarz, który na Zachodzie nie zbijał bąków, do tego stopnia poznał tajniki najbardziej

trudnych maszyn, że później, w kraju, nie tylko potrafił je remontować i konserwować, ale nawet instalować, wyręczając ekipy zagranicznych specjalistów. Ale u nas się tego nie rozumie. Ktoś pewnie doszedł do wniosku, że dłuższy pobyt robotników w takiej Anglii, Belgii czy Włoszech, mógłby ich, co nie daj Boże, zdeprawować, rozpaskudzić.

3.

KOTONY to praca dla mężczyzn. Ale w grudniu utarło się powiedzenie, że Łódź wspiera się na babskim proletariacie, który jest plakiwy.

W lutym argumenty te upadły. W „Olimpii” też przeważają kobiety. Na wydziale konfekcji, zatrudniającym tysiąc dwieście osób, a więc połowę całej załogi, dziewięćdziesiąt osiem procent stanowią właśnie panie. Czy naprawdę mamy do czynienia z gorzej myślącą od mężczyzn, nie zorganizowaną masą? Pamiętam, jak wszedłem do ciastnej, dusznej hali, żeby porozmawiać z Wandą Lachowicz, która pracuje w dzwoniarni ponad dwadzieścia dwa lata.

Niedawno jeszcze stała przy maszynie, ale wszek w tym zawodzie szybko się tępi, więc od kilku miesięcy, tracąc sporo na zarobkach, przeszła do ręcznych prac wykończeniowych.

Ja notowałem, ona mówiła, nie przerywając roboty. Co parę minut odrzucała na stronę „wykończoną” modną bluzkę. Jedną z nich przyłożyła sobie do piersi. I zapytała:

— Ładna?
— Ładna.

— No, widzi pan. Ale my takich nie nosimy. Tyle naszego, co postrzymamy w rękach. Nieraz jest Święto Kobiet, Gwiazdka, nieraz ktoś z nas odchodzi na emeryturę, ale takiej bluzki, choćby w trzecim gatunku, nie dostała jeszcze żadna. No, może zakładu nie stać na darmowe rozdawanie, ale mogłoby przecież urządzić chociaż raz w roku kiermasz towarów wybrakowanych, przecenionych. Niechby nasze kobitki wiedziały, że się o nich trochę myśli.

I znowu wraca do pracy, prosząc, żebym się na nią nie gniewał.

Jestem zakłopotany. Wsluchuję się w jej monotony, ciepły głos, w którym nie ma fałszywych nut...
Od lat czeka na spółdzielcze mieszkanie... wysiadł telewizor i nie starczyło pieniędzy na reperację, więc trzeba było skasować na pocztę abonament, żeby za darmo nie płacić, lecz to żadne wyjście, dzieciaki są niewyrozumiałe, jak nie mogą oglądać kina w domu, to chcą oglądać w mieście, ale bilet na panoramy w „Polonii” kosztuje 20 złotych... Jeden dyrektor to chodź kiedys nadęty... Jeden sekretarz partii zawsze się do niego uśmiecha, mówi: dzień dobry, więc nawet te wierzące go lubią i biegną do niego z troskami... Dwadzieścia lat nie była na wczasach, a jak w zimie zwróciła się do Rady, to nie chcieli jej dać; płakała, powiedziała, że się wypisze ze Związku Zawodowego i przestanie płacić składki, bo za przejazdy pociągami i tak nie płaci, mając męża kolejarza... Może teraz dostanie te wczasy?... Tak dużo się przecież zmieniło... Drażni ją, kiedy czyta w prasie opinie, że robotnicy są leniwi, że objają się przy warsztatach, bo „czy się stoi, czy się leży...”

— U nas — mówi — na produkcji, pracuje się bez wytchnienia. Jak przychodzi piętnaście minut przerwy na śniadanie, to kobiety jedzą i jednocześnie dębnią igielkami, żeby zarobić te czterdzieści groszy na sztuce. Nikt się od roboty nie miga. Czujemy nowe wiatry. Wierzymy, że nam w końcu będzie lepiej.

POLONICA

FRANCUZI I POLACY SĄ BRACMI

Po hasłem „frere” (brat), słynny francuski leksykon Litrego cytuje przysłowie francuskie „Francuzi i Polacy są braćmi” („Les Français et les Polonais sont freres”). Od tej cytaty zaczyna Stanisław Kocik omówienie książki Stanisława Strumph-Wojtkiewicza, na łamach „Le Monde” z 11.VI.1971. Chodzi o „Grę wojenną”, o-

mawiającą losy polskiego Ruchu Oporu we Francji podczas ostatniej wojny. Recenzent „Le Monde”, przypomina, że 200.000 polskich oficerów i żołnierzy brało udział w walkach Wielkiej Rewolucji Francuskiej i Cesarstwa, że w 1871 roku 600 polskich emigrantów walczyło po stronie Komuny Paryskiej; że podczas pierwszej wojny światowej znaczna ilość Polaków zginęła w Szampanii „za sprawę zmarłych wstania Polski i zwycięstwo Francji”. Jak brzmi napis na tamtejszym pomniku; że tysiące robotników i żołnierzy

polskich oddało we Francji krew podczas wojny ostatniej.
Stanisław Strumph-Wojtkiewicz przypomina zasługi por. Hańczy, kap. Wysogoty i gen. Zdrojewskiego, którzy organizowali partyzantkę lub przetrzymali żołnierzy za granicą. A także kap. Władysława Ważnego, dostarczającego aliantom ważnych informacji, dotyczących wyrzutni V-1 i V-2. Autor pisze także o grenadierach polskich, poległych w Dieuze w 1940 roku, przypomina, że w 1944 „ziemia francuska została dosłownie przesiąknięta polską krwią”.

W cytadeli w Arras hitlerowcy rozstrzelali 34 polskich górników z Pas-de-Calais.

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz, urodzony w 1898 roku, jest m. in. autorem książki o gen. Władysławie Sikorskim (którego Andre Fontaine porównywał z gen. de Gaullem), oraz monografii o Walerym Wróblewskim i Jarosławie Dąbrowskim.

W. N.

YVES BONNEFOY
— LAUREATEM

Znakomity poeta francuski, Yves Bonnefoy o-

trzymał nagrodę krytyków za całokształt swej twórczości. Warto przypomnieć że jest on autorem znakomitych, wręcz kongenialnych, przekładów wierszy Norwida, szczególnie „Pióra”, „Mojej piosenki”, „Pamięci Bema, rapsod żalobny”, „Trzech strof”, „Zydom polskim”, „Sfinks”, „Święty — pokój”, „Ironia”, „Lapidarła”, i innych. Tłumaczenia te opublikowała „Anthologie de la poesie polonaise”, nakładem „Editions du Seuil” (1965 r.).

W. N.

ZASŁUŻONA NAGRODA

Ośrodek Kultury Polskiej w Paryżu przyznał Jadwidze Kukulczance nagrodę za tłumaczenie dzieł polskiej literatury i upowszechnianie polskiej sztuki na francuskiej scenie. Nagrodę wręczył uroczystie dyrektor Ośrodka, docent J. Detko.

W. N.

POLONICA

Cedry, palmy i cyprysy (II)

Czy dzisiejsi Włosi różnią się od starożytnego ludu rzymskiego, dla którego cesarze Wespazjan i Tytus wznosili Koloseum, gdzie urządzano krwawe igrzyska, i dla którego Dioklecjan budował ogromne łaźnie publiczne o wielkich — jak dla obywateli — salach, wykładanych marmurami i drogocennymi mozaikami? Jan Parandowski w książce „Mój Rzym”, zbiorze esejów, pisanych, jak wszystko, co wychodzi spod pióra autora „Alchemii słowa”, kunsztowną prozą, powołuje się na rozmowę z uczonym, antropologiem, który dowodził, że ludność dzisiejszej Italii nie różni się od dawnych, starożytnych mieszkańców półwyspu Apenińskiego. Świadomi swej własnej wspaniałej przeszłości, za najbardziej rzymskich z Rzymian uważają się dziś mieszkańcy Zatybrza, którzy mówią o sobie z dumą: „My, Romani di Roma”, uważając się więc (o czym zapewne nie wiedzą) za tych potomków ludu rzymskiego, który całymi dniami włóczył się po ulicach Wiecznego Miasta, domagając się od cesarzy „panem et circensibus” (chlebem i igrzyskami)?

Uderzającymi cechami dzisiejszych mieszkańców Rzymu jest bezpośredniość i łatwość w nawiązywaniu znajomości, zamilowanie do nie kończących się dyskusji, toczących się z południowym temperamentem, lecz pozbawionych wrogości (nawet w przypadkach najbardziej kontrowersyjnych tematów politycznych), i wreszcie, życzliwość dla cudzoziemców i gotowość do natychmiastowego świadczenia bezinteresownych usług. Pomimo jednak dwumiesięcznych obserwacji, potwierdzających te spostrzeżenia, mój sceptycyzm podsuwa mi krytyczne zastrzeżenie, czy przyjacielski i życzliwy stosunek do cudzoziemców nie jest czasem podyktowany odruchem warunkowym, nabytym ze zrozumienia Korzyści, wynikających z prostego faktu, że w ciągu ostatnich kilku lat przez Włochy przewędrowało 10 (słownie: dziesięć) milionów turystów pozostawiając w miastach Italii nie dające się chyba dokładnie obliczyć milionowe kwoty w obcych walutach, a wśród nich najwięcej z pewnością — marek niemieckich z Niemieckiej Republiki Federalnej, bo mową niemiecką słyszy się naj-

częściej we wszystkich bazylikach, muzeach i pinakotekach.

Zastanawiałem się, czy w świadomości przeciętnego mieszkańca Rzymu nie pozostały urazy z czasów, kiedy narody Europy składały krwawą hekatombę za próbę podboju świata przez hitlerowskie wojska. Zapytywałem o to ludzi z różnych warstw społecznych i przekonałem się, że moje pytania były dla nich pewnego rodzaju zaskoczeniem. Moi rozmówcy niechętnie wspominali historyczne wydarzenia sprzed ćwierćwiecza i nie zdradzali bynajmniej jakiegokolwiek animozji dla swych byłych sojuszników spod znaku swastyki. A przecież hitlerowcy i faszyci pozostawili po sobie w Italii krwawe ślady mordów i spustoszeń. Widziałem emmentarze patriotów włoskich, którzy ponieśli śmierć z rąk gestapowców. Zwiedzałem nad brzegiem jeziora Nemi zniszczone w barbarzyńskim porwywie ślepej nienawiści przez wycofujące się oddziały SS-manów muzeum, które zawierało kiedyś oryginalne, bezcenne dzieła sztuki, wydobyte wraz z dwiema galeriami z jeziora przed drugą wojną światową. Galery nie przeznaczone dla żeglugi, będące raczej pływającymi pałacami cesarskimi, zostały — jak głosi utrzymująca się uporczywie legenda — zatopione na rozkaz zdegenerowanego cesarza Kaliguli (12—41 rok n.e.) wraz z zaproszonymi podstępnie przez cesarza-psychoopatę na ucztę biesiadnikami, których Kaligula podejrzewał o udział w spisku na jego życie. Wyposażenie galerii, urządzenia wewnątrz, mozaiki, brązy, posążki domowych bożków, sprzęt okrętowy, jednym słowem — rzeczy dające obraz życia i obyczajów starożytnych Rzymian w pierwszym wieku naszej ery, są obecnie rekonstruowane z pozostałych szczątków w odbudowywanym nad brzegami jeziora Nemi muzeum.

Stosunek Włochów do Polaków można nazwać serdecznym, a nawet wylewnym. I tutaj jednak mój sceptycyzm podsuwa mi wątpliwość, że prawdopodobnie — tak samo wylewny, jak do wszystkich innych turystów, podziwiających zabytki włoskiej przeszłości. Chociaż znów widome w Rzymie ślady, świadczące o naszej obecności w historii Wiecznego Miasta, przemawiałyby za

tym, że przyjaźń polsko-włoska ma swe podstawy w ugruntowanych od stuleci kontaktach kulturalnych i politycznych. Śladów takich jest немало: Grób św. Stanisława Kostki (jednego znieśliwnych kanonizowanych Polaków) w kościele św. Andrzeja na Kwirynale (na marginesie warto dodać, że ta piękna barokowa świątynia została zaprojektowana przez mistrza baroku, Lorenzo Berniniego); pałac Odescalchi, gdzie mieszkała w ostatnich latach swego życia słynna Marysińska, wdowa po królu Janie III Sobieskim; tablica i popiersie Mickiewicza przy via del Pozzeto na domu, w którym twórca „Pana Tadeusza” mieszkał i z którego wyruszył ze swym legionem do walki o wyzwolenie Włoch; tablica przy via Laurina na domu, gdzie mieszkał Słowacki; popiersie marszałka Piłsudskiego, które przemknęło mi w oknach samochodu przed oczami na Viale Marescallo Piłsudski.

Może się to wydać paradoksalne, ale drzewostan rzymski jest bogatszy w samym mieście niż poza jego granicami, na rozległych przestrzeniach Kampanii. I to nie tylko w ogrodach Monte Pincio, Janikulum i w parkach miejskich. Śpięty dziesięćmiastoma mostami Tyber wije się falistą linią przepływając przez rozległe obszary Wiecznego Miasta, a nad jego wodami, na wybrzeżu zwanym Lungotevere (Wzdłuż Tybru) pochylają się piękne platany, jak gdyby chciały dosięgnąć gałęzi rzeczno-nurtu.

W niektórych dzielnicach istniejące rezerwy zieleni upiększają wykładane trawertynem (porowata skała osadowa, podobna do surowego marmuru) fasady domów z opuszczonymi dla ochrony przed słońcem żaluzjami. W okolicach Via Marcantonio Colonna spotykałem niemal co kilkanaście kroków wznoszące się z ogródków między domami długowieczne cedry, podobne do modrzewi, i palmy rozkładające malowniczo swe liściaste pióropusze.

Słynna Via Appia wybiega z miasta na płaską zieloną równinę, gdzie częściej przyciągają wzrok starożytne grobowce i ruiny zapadłych w ziemię budowli niż rozłożyste pinie i smutne cyprysy.

Tą pradawną drogą pamiętającą czasy cesarów dojeżdżamy do sąsiadujących z katakumbami św. Kaliksta (w których chowano zwłoki najbogatszych Rzymian) katakumb św. Sebastiana.

Jestem zaskoczony wstępną informacją przyjaciół, że otaczające Rzym w sześćdziesięciu czterech miejscach katakumby tworzą obwód o długości około dwustu pięćdziesięciu kilometrów, i że pierwsze groby chrześcijan były wspólne z grobami pogan w wypadkach, gdy w grobach rodzinnych chowano członków rodzin, którzy przyjęli chrześcijaństwo, razem z tymi, którzy pozostali przy starych wierzeniach. Według

surowo przestrzeganych przepisów, już od czasu XII tablic, zmarłych wolno było chować tylko poza murami miasta. Dwa znane wyjątki — spalenie zwłok Juliusza Cezara na Forum Romanum i złożenie doczesnych szczątków Trajana pod łukiem wzniesionym mu w hołdzie — tłumaczy się tym, że lud rzymski przypisywał obu władcom przymioty bogów.

Waskimi, wykutymi w tufie (skamielinie powulkanicznej) schodkami zstępujemy do krypty św. Sebastiana, gdzie odbywały się agapy czyli obrzędowe uczy pierwszych chrześcijan. W krypte znajduje się popiersie św. Sebastiana, centuriona rzymskiego skazanego na śmierć za przyjęcie chrześcijaństwa (r. 290 n.e.), który do dziś jest bliski pamięci Rzymian i którego postać inspirowała wielu wybitnych artystów malarzy (jednym z bardziej znanych jest obraz Mantegni przedstawiający świętego, przywiązanego do kolumny i wystawionego na cel łuczników).

Z krypty zapuszczamy się w labirynt długich, słabo oświetlonych korytarzy, które schodzą do głębokości pięciu pięter. W ścianach, od których wije chłodem i wilgocią, wmurowane są płyty z na pół zatartymi inskrypcjami nagrobnymi i rysunkami przedstawiającymi sceny ze Starego i Nowego Testamentu. Za płytami kryją się wąskie nisze, tzw. loculi, do których składano zwłoki. Dziwi mnie, że te skomplikowane pięciopiętrowe labirynty przetrzymały niszczące działanie cza-

su i nie obsunęły się pomimo braku podpor, podtrzymujących górne piętra. Wyjaśniają mi, że prawie większa część półwyspu Apenińskiego posiada teren o charakterze wulkanicznym i że zastygająca lava dostarczała twardego i spoiwego tworzywa, w którym można było bezpiecznie przebić chodniki nie licząc się z możliwością, że zostaną zasypane.

Wbrew ogólnemu mniemaniu, pierwsi chrześcijanie nie mieszkali w katakumbach, tylko zbierali się w nich na agapy, bądź też ukrywali się w nich przez pewien czas w okresach nasilonych prześladowań.

Dochodzimy do korytarzy, w których nie ma światła. Od tego miejsca ciągną się bez końca ciemne, nie zbadane jeszcze przez archeologów chodniki.

Ostrzeżono mnie, żeby nie zapuszczać się w niebezpieczne labirynty. Podobno — a piszę to na odpowiedzialność moich informatorów — przed kilkunastu laty grupa niemieckich artystów odłączyła się od zwiedzających, zagubiła się w nie zbadanych jeszcze przez archeologów podziemiach i pomimo poszukiwań nie została odnaleziona. Może się to wydawać nieprawdopodobne, jeżeli się nie pamięta o 250-kilometrowej linii obwodu jakim katakumby otaczają stolicę Italii.

Wracamy do Rzymu, który jutro obchodzi swoje wielkie święto. 21 kwietnia przypada 2724 rocznica ab Urbe condita, od założenia na starszego w Europie Wiecznego Miasta.



Fot. A. Wach

KAROL BADZIAK

RAZ NA LUDOWO

Szał festiwalowy ogarnął już cały kraj od Kaszub do Podhala. Widocznie jest w tym szaleństwie jakaś metoda, ale ja nie wiem jeszcze jaka. W każdym bądź razie chyba mam do tego typu imprez stosunek prawidłowy, ponieważ redakcja wysłała mnie do Kazimierza na Festiwal Kapel Włoskich. Nazwa — festyn — brzmiałaby bardziej swojsko, no, ale tak już się utarło, że wszystko, co u nas gra, śpiewa i tańczy otrzymuje miano festiwalu.

Kazimierz znalazłem rozśpiewany, roztańczone i rozkopany. Trzech młodych ludzi, których widziałem w ubiegłym roku, ciągnących rury kanalizacyjne pod Górę Zamkową, zastąpiłem prawie w tym samym miejscu. Jeśli w tym tempie i w tym samym składzie personalnym

będą pracować nadal, to za jakieś 300 lat na pewno całe miasteczko skanalizują.

Zresztą dajmy temu spokój, moim obowiązkiem jest relacjonować z Kazimierza wydarzenia instrumentalno-wokalne, a nie kanalizacyjno-komunalne. Jestem w tej dobrej sytuacji, że telewizja nie emitowała tego festiwalu ani w I, ani w II programie, tak, że mogą popuścić wodze fantazji.

Zasadnicza różnica między festiwalem kazimierzowskim a sopockim czy opolskim polega na tym, że obsługuje go trochę mniej dziennikarzy, no tak mniej więcej o jakieś 190 osób. Od dziennikarzy i fotoreporterów mniej jest jeszcze tylko tutaj konferansjerów. A więc nie ma ani Lucjana Kydryńskiego, ani

nawet Ireny Dziedzic. Tak ich dokładnie tutaj nie ma, jak ich jeszcze nigdy na żadnym festiwalu nie było. Pełno jest natomiast Wojciecha Siemiona, to znaczy im mniej jest Kydryńskiego i Dziedzic — tym więcej jest jego. Lubiany, podziwiany, popularny to widziciej — istny król chłopów. Po prostu drugi po Kazimierzu Wielkim, który to miasto zastał drewniane, zostawił murowane, ale chyba nie całkiem, bo dziś jest raczej drewniano-murowane.

Zresztą nieważne są drobiazgi, grunt, że mnie się miasto to podoba. Należę bowiem do tej nielicznej grupy maniaków, którzy tu co roku przyjeżdżają nie wiadomo po co. I tak żaden z nich nie zdoła zwiedzić wszystkich sześćdziesięciu paruwawozów i jarów („I w te jary Szwedzi, Turcy i Tatarzy”). Ja tu przyjeżdżam, bo lubię głogi, różę i ogórki małosolne; oraz

Krzyk — rozmodlonych sądów
Ptaków lejących — slysze
Z pół zbieram technię i radość
I ciszę.

(poeta ludowy)

Trudno sobie wyobrazić ładniejszą imprezę niż festiwal kapel i śpiewaków ludowych w Kazimierzu. Właśnie tutaj to ludowe muzykowanie bardzo pasuje do otoczenia renesansowych kamieniczek na rynku. Przez pierwsze cztery dni lipca z każdego

zakątka dobywa się żwawa melodia, oczywiście tym piękniejsza z im starszych i unikalnych wywodzi się instrumentów. Najwyżej notowane są tu (przez jury) kapele autentyczne, nie skażone piętnem cywilizacji i stylizacji, lecz niestety, tych coraz mniej na polskiej wsi. Największe szanse na laury mają ci, co grają na listku bżowym, ale także i na: ligawce, fujarec, lirze korbowej, cymbalach, dudach, skrzypcach diabelskich, harmonii polskiej, mazankach, gajdach, trombitach, okarynach, burczybasach i bębenku.

W ubiegłym roku furorę zrobila dwuosobowa kapela braci Bzdziuchów z bitgorajskiego powiatu. Kapela istnieje przeszło pół wieku. Jan Bzdziuch, który ma 80 lat, gra na skrzypcach, Franciszek Bzdziuch, który ma lat tylko 75 — gra na bębenku. Razem tworzą zespół najautentyczniejszy z autentycznych. W tym roku do Kazimierza nie przyjechali z powodu choroby starszego brata, lecz przysłali list, pięknie organizatorów i publiczność przepraszając za swą nieobecność. Grzeczności od tej młodej kapeli mógłby się nauczyć niejedyn duży zespół skiflowy.

Większość artystów ludowych, występujących na kazimierzowskim festiwalu, to ludzie w podeszłym wieku, ale pełni życia, werwy, temperamentu, niekłamanej entuzjasmu i radości, słowem — żywym wyjęci z kart albumu Kolberga. Barwne stroje, piękne melodie i rubaszna pieśń tworzą w sumie niecodzienną



Fot. W. Parys

DOPIERO co ostygły nerwowe dyskusje o egzaminach maturalnych. Oddechła większość maturzystów i rodziców, a cała Polska przestała porównywać wyniki, żeby się przekonać, czy mieliśmy w tym roku młodzież statystycznie mądrzejszą niż w latach ubiegłych, czy — nie daj Boże — nie skończyły się matury, kibice i zawodnicy odśapnęli, ciesząc się raczej z końca emocji niż z ich wyników. A co potem?

Potem cały kraj przeżywa egzaminy wstępne na wyższe uczelnie. Emocje nie mniejsze, a i leż ciekawsze. Wszak znów odwiemy się, ilu młodych ludzi odkryło u siebie talenty matematyczne, ilu zdolności aktorskie, muzyczne, a ilu chce zdobyć dyplom inżyniera. Przy okazji szkoły średnie usłyszą, jak co roku, że nie przygotowały należycie młodzieży do studiów. Ogromne zainteresowanie, jakim cieszą się matury i egzaminy wstępne na wyższe uczelnie, stało się już niemal tradycją. Czy słusznie?

DAWNIEJ zdobycie matury decydowało o awansie społecznym. Dziś matura liceum ogólnokształcącego jest tylko kolejnym progiem w procesie kształcenia współczesnego specjalisty i właściwie niczego nie ułatwia. Można do egzaminu maturalnego nie przystąpić i otrzymać świadectwo ukończenia szkoły średniej. Można maturę zdać i przez głupi pech odpaść przy egzaminie na wyższą uczelnię. A jeśli absolwent „ogólniaka” nie zdecydował się na uzupełnienie nauki, czeka go najwyżej przystawione już okienko na pocztę. Toteż sami maturzyści wykazują w tej materii sporo zdrowego rozsądku i ci, którzy nie dostają się na studia, podejmują naukę w coraz liczniejszych szkołach pomaturalnych. W 1960 roku w kraju było 231 szkół pomaturalnych dla 33,3 tys. uczących się, a w 1970 roku — 473 dla 95,2 tys. uczących się. Jest to najlepszy przykład, że matura niczego nie ułatwia, że nasze zainteresowanie nią wynika raczej z tradycji niż z obecnych warunków społecznych.

Podobnie ma się rzecz z egzaminami na wyższe uczelnie. Jest to drugi próg w drodze do zdobycia wyższych zawodowych kwalifikacji, który trzeba pokonać w miesiąc po uporaniu się z egzaminem maturalnym, w założeniu prawie identycznym. Czy słusznie przywiązujemy doń tak wielką wagę?

Interesuje nas przede wszystkim, ilu kandydatom uda się przebrnąć przez egzaminacyjne sito, ilu będzie mogło szczyścić się w nowym roku akademickim legitymacją studencką i indeksem. Mniej natomiast interesujemy się jak dzisiejsi i przyszłe kandydaci radzą sobie później na studiach. I lu z nich skończy je w terminie, a ilu po drodze odpadnie, co się wreszcie dzieje z absolwentami

wyższych uczelni — czy, kiedy i jaką podejmują pracę?

Kształcimy młodych specjalistów naszym wspólnym, społecznym wysiłkiem. Czy wobec tego nie powinniśmy przenieść naszego zainteresowania z „batalii o indeksy” na końcowy moment studiów — zdobycie dyplomu i podjęcie pracy? Na moment, który jest przecież dla naszych społecznych potrzeb najistotniejszy.

ZAINTERESOWANIE egzaminami wstępnymi wynika również z faktu, że społeczeństwo nie jest zadowolone z ich dotychczasowego modelu. Zmieniło się u nas wiele, a egzaminy wstępne, mimo że i w tej dziedzinie nie brakło eksperymentów, pozostały takie same. Innowacją były na przykład wprowadzone przed kilku laty punkty. Miały one między innymi wyrównać szanse młodzieży, wywołując się z różnych środowisk. Problemu nie rozwiązały chyba do

nie w poziomie przygotowania, jakie daje środowisko wielkomiejskie i środowisko mniejszego ośrodka.

Poza tym nie bierzemy zupełnie pod uwagę jeszcze jednego istotnego momentu. Podział społeczny uczniów dokonuje się znacznie wcześniej. Wystarczy przejrzeć dzienniki lekcyjne w szkołach średnich, żeby się przekonać, że większość uczniów szkół ogólnokształcących pochodzi z rodzin inteligentnych, a uczniów techników z rodzin robotniczych i chłopskich. Na studia wyższe, z kolei, zgłasza się zdecydowanie więcej absolwentów ze szkół ogólnokształcących niż zawodowych. Ot i wyjaśnienie całego problemu.

JESZCZE jednym powodem dyskusji wokół egzaminu wstępnego jest jego różnorodność w stosunku do matury. Wszak wykorzystuje się ten sam

lonego kierunku studiów całkowicie przenieść na szkołę średnią?

ZEBY jednak być w zgodzie z tradycją przypomnę niektóre dane z tegorocznej rekrutacji na łódzkie uczelnie. W Akademii Medycznej na jedno miejsce na wydziale lekarskim przypadło trzech kandydatów. W Wyższej Szkole Muzycznej największym zainteresowaniem cieszył się jedyny w kraju wydział wokalnno-aktorski, gdzie o 12 miejsce ubiegało się 98 osób. W Wyższej Szkole Filmowej, Teatralnej i Telewizyjnej na wydział aktorski zgłosiło się 262 osoby, choć miejsc było tylko 15. Na Politechnice Łódzkiej o każde 10 miejsc ubiegało się 16 kandydatów, a najwięcej zgłoszeń zanotowano na wydziale elektrycznym, gdzie na 1 miejsce przypadły więcej niż 3 osoby. Wreszcie na Uniwersytecie Łódzkim tradycyjnie już największym powodzeniem cieszyły się kierunki stu-

wy, lub nie wiedząc tego, że ze względu na warunki pracy w przemyśle spożywczym zawodu tego powinni uczyć się przede wszystkim mężczyźni i że to ich tylko chcą przyjmować do pracy fabryki tego przemysłu. Ale tym faktem mało kto się interesuje.

Nie interesuje się też nikt tym, że w niektórych zawodach jest już więcej specjalistów niż ich w tej chwili potrzeba. Na przykład włókiennicy kształceni na Politechnice Łódzkiej mają już kłopoty ze znalezieniem pracy w fabrykach przemysłu lekkiego w łódzkim okręgu przemysłowym. Kłopoty ze znalezieniem pracy mają też matematycy, fizycy, chemicy, prawnicy, poloniści, historycy. Problem ten ucieka jednak z pola widzenia opinii społecznej, która interesuje się bardziej egzaminem wstępnym niż egzaminem dyplomowym. W ten sposób wyrządza się krzywdę młodzieży, która pełną radości rozpoczyna studia i dopiero w momencie ich ukończenia staje wobec trudności, o których nikt jej uprzednio nie poinformował.

Zafascynowani limitami miejsc na poszczególnych uczelniach i kierunkach oraz ilością ubiegających się o nie kandydatów zapominamy poinformować młodzież o ilości miejsc pracy, jakie czekają na nią po pięciu czy sześciu latach studiów. Moim zdaniem ta druga informacja jest znacznie ważniejsza od tej pierwszej. Społeczna nieświadomość kogo kształcimy i po co prowadzić czasem do paradoksów. Ostatnio absolwentom wydziału chemii spożywczej zaproponowano objęcie funkcji zastępców kierowników „Balatonu” i „Kęsa”, choć wydział kształci inżynierów-technologów dla fabryk i laboratoriów przemysłu spożywczego.

Kandydat na studia rozpoczynający studia nie zdaje sobie również sprawy z tego, że będzie musiał nieraz wybrać taką specjalizację, która nie ułatwi mu znalezienia później pracy. Już obecnie zdarzają się przypadki, że absolwenci politechniki chcą otrzymać pracę ukrywając swoją zbyt wąską specjalizację, przynajmniej do takiej, jakiej wymaga przyszły pracodawca. Wynika to m. in. z faktu, że na poszczególnych uczelniach i kierunkach jest wielu naukowców, którzy mają katedry. Muszą mieć również i studentów. I tak polskie wyższe uczelnie mogą się „pochwalić” dwukrotnie wyższą liczbą specjalizacji niż wyższe uczelnie ZSRR lub Stanów Zjednoczonych. Ale o tym nikt przyszłego studenta ani opinii publicznej nie informuje.

BOGDA MADEJ

A co po dyplomie?

końca a wywołały za to liczne dyskusje, dotyczące przede wszystkim punktów za pochodzenie społeczne. Taką samą bowiem ilość punktów za pochodzenie robotnicze otrzymuje absolwent łódzkiego liceum z bogatą tradycją, jak też absolwent liceum z małego miasteczka. Nie umniejszając w niczym temu ostatniemu, trzeba jednak przyznać, że łodzianin miał nieporównywalnie większe możliwości korzystania z tzw. dóbr kulturalnych niż jego kolega. Czy wobec tego można tu mówić o jednakowym starcie?

Co roku powtarzają się te same wątpliwości, czy słusznie pozbawia się owych punktów dzieci młodej inteligencji, która zdobyła wykształcenie już w Polsce Ludowej, a która także, w przeważającej większości wywodzi się ze środowiska robotniczego i chłopskiego. Służę więc temu samemu ustrojowi, który dał jej szansę bezpłatnego ukończenia studiów.

Dobrzy uczniowie, którzy mają wysokie oceny w ostatniej klasie szkoły średniej, dobrze zdali maturę i otrzymali piątki i czwórki na egzaminie wstępnym, poradzą sobie bez dodatkowych punktów za pochodzenie społeczne. Zatem punkty te pomagają przede wszystkim uczniom słabszym. Rodzą się wątpliwości, czy taka pomoc ma sens? Rodzą się one dlatego, że dodatkowe punkty za pochodzenie społeczne nie niwelują róż-

zakres wiedzy, jaki obowiązywał na egzaminie maturalnym. Nie zmieniają się więc egzaminacyjne tematy, zmieniają się egzaminatorzy. Fakt, że po obu stronach stołu egzaminacyjnego siedzą ludzie sobie nie znani, nie stanowi jeszcze tak wielkiego niebezpieczeństwa jak to, że po jednej stronie siedzą wybitni specjaliści wąskich zakresów wiedzy. Prowadzi to w gruncie rzeczy do preferowania chłonnej pamięci i encyklopedycznego opanowania wiedzy, a nie daje kandydatowi na studia możliwości wykazania się umiejętnością samodzielnego myślenia. Co gorsza, podobne tendencje — choć nie zamierzam tego twierdzenia uogólniać — obserwuje się także na niektórych kierunkach już podczas samych studiów, kiedy czasem większe znaczenie przykłada się do konieczności zapamiętania, kto, co i gdzie napisał, niż do kształcenia umiejętności samodzielnego stawiania tezy, udowadniania jej i wyciągania wniosków.

Wszystkie te niepokoje potwierdzają jeszcze raz niedoskonałość egzaminu wstępnego w jego obecnej postaci i zmuszają do szukania nowych rozwiązań. Może z niego zupełnie zrezygnować? Skoro pozostajemy przy maturze, wprowadzamy zajęcia fakultatywne i klasy kierunkowe, to czemu nie pójść dalej i odpowiedzialność za przygotowanie do okre-

śnięć na wydziale socjologiczno-ekonomicznym, na filologię polską na 80 miejsc zgłosiło się 230 kandydatów, na prawo na 100 miejsc — 323 osoby. Takich danych można by przytoczyć jeszcze więcej. Tylko co z nich wynika?

Właściwie nic, gdyż wraz z zakończeniem egzaminów, wszyscy natychmiast przestają się interesować zarówno losem tych, którzy zdali i znaleźli swoje nazwisko na liście przyjętych, jak i losem tych, którzy odpadli przy egzaminach, lub nie dostali się na studia. Tymczasem ze społecznego punktu widzenia momentem godnym zainteresowania powinien być egzamin dyplomowy, ponieważ kończy on wieloletni okres nauki i studiów i daje gospodarce narodowej „gotowego” specjalistę. Jednakże egzamin dyplomowy stał się intymną sprawą każdego studenta. A niesłusznie.

Zainteresowanie ilością kandydatów ubiegających się o jedno miejsce, w wielu przypadkach zamiast pokazać rzeczywisty problem, pokazuje tylko rezultaty irracjonalnej mody na poszczególne kierunki uczelni, która to moda jest najczęściej wynikiem nieznamomości rzeczy i nieporozumień. Klasycznym przykładem tego jest wydział chemii spożywczej Politechniki Łódzkiej. Na wydział ten masowo zgłaszają się dziewczęta, nie zdając sobie spr-

aurę obcowania z naprawdę żywym folklorem. Festiwal w Kazimierzu faktycznie dostarcza dużo wzruszeń artystycznych, pięknych przeżyć i prawdziwej rozrywki. Zabawa jest beztroška, spontaniczna i bezpośrednia, choć publiczność nie faluje i nie kołysze się w siedzeniach. Zespoły punktowane są nie tylko za poziom artystyczny, ale i za aktywność towarzyską, za wkład w atmosferę festiwalu, za umiejętność organizowania koncertów na gorąco, na ulicach, w miejscu zakwaterowania i na nadwiślańskich bulwarach. Różną więc gorliwość kapeli od rana do wieczora. Muzyka towarzyszy poezji i jarmarkowi, albowiem festiwal urozmaicony jest targami wyrobów ludowych. Kto żyw kupuje więc na kiermaszu siwaki i kropielniczki, świątki i pogrzebaczki, garnki i świeczniki, pasiaki i kraciaki, pisanki i wycinanki. Wszystko w najwyższym gatunku, rękodziela świadczące o dużym smaku i wysokim kuźstwie ludowych malarzy, rzeźbiarzy, kowali i garncarzy, którzy z kolei wywożą z Kazimierza magnetofony, radioaparaty i mlynko-miksery.

Nie zabrakło tu również przedstawicieli łódzkiego regionu. Największym powodzeniem cieszyły się na kiermaszu wyroby rzeźbiarskie Stanisława Korpy ze wsi Ruda sieradzkiego powiatu. W ciągu godziny sprzedal on produkcję całego roku. Wyróżnienie otrzymała kapela z Raduczy, pow. skierniewicki oraz pieśniarka i poetka ludowa, Jadwiga

Gadzala z Wiśniewej Góry. Dużym powodzeniem cieszyła się wśród publiczności kapela łowicka, która chyba tylko przez przeoczenie nie otrzymała żadnej nagrody.

Najwspanialszą jednak imprezą festiwalu był turniej poetów i gawędziarzy ludowych na stylowym dziedzińcu Domu Architekta. Strofkarsstwo, kataryniarstwo i częstochowszczyzna ludowej poezji brzmiały tu pięknie, czysto i świeżo, nie rażąc ucha najwybredniejszych koneserów. Niewątpliwie najwyższy lot osiągnęły strofy poezji Jana Pocka z Kalenia, który zmarł na cztery dni przed rozpoczęciem festiwalu, zostawiając po sobie szlachetny testament poetycki o miłości Ojczyzny:

Musimy swoją Ojczyznę
pachnącą różami i chlebem
wpród nakryć własnym sercem
jak gdyby drugim niebem...

Festiwal w Kazimierzu to prawdziwe święto polskiego folkloru. Występy odbywają się w atmosferze nieskrępowania, choć uczestnicy pochodzą nieraz z najbardziej odległych i położonych wśród lasów i pól wiosek. Rywalizacja amatorów ludowych pozbawiona jest zaciekłości, jaka towarzyszy zawodowcom. Wiadomo, że festiwale piosenkarskie to przecież gieldy rekinów, gdzie śpiew ma zagłuszyć brzęk monet i szelest banknotów.

Chętnych do udziału w kazimierzowskim festiwalu jest bardzo wie-

lu, lecz niestety, ze względu na brak miejsc zakwaterowania wystąpiło tylko 21 kapel. Kazimierz jest miastem mało pojemnym, w czym zresztą cały jego urok. Istnieją w ogóle co do tego dwie szkoły: szkoła puławsko-inżynierska, opowiadająca się za przekształceniem Kazimierza w miasto noclegowe dla „Azotów” i szkoła warszawsko-artystyczna, głosząca za Kazimierzem jako skansenem polskiej małopolskiej kultury. O tym, co ten spór przynosi tubylcom, najlepiej pisze Kazimierz Brandys:

„Jedenaście lat temu wybudowano tu pierwszy dom z wannami i natryskami — miejscowa ludność moczyła nogi w balii. Potem założono stację przekąsnikową, z dachów wystrzeliły anteny telewizyjne — ludność nadal moczyła nogi w balii. Po paru latach wybudowano drugi dom z wannami i natryskami, a ponadto z czytelniami pism, telefonami w pokojach i barem w podziemi. — Ludność dalej moczyła nogi w balii. W najbliższym sąsiedztwie ukończono budowę giganta przemysłowego, potężnej, nowoczesnej fabryki chemicznej — miejscowa ludność moczyła nogi w balii.”

Tylko pan John w baskijskim berecie — twórca palindromów i Franciszek Kmita w kapeluszu kaukaskich pasterzy — twórca miejscowych obrazów, żadnymi sporami się nie przejmują. Pierwszy układa zdania dwukierunkowe, drugi maluje na okrągło twierdząc, że są na świecie tylko dwa miasta, gdzie ma-

larze czują się najlepiej — Kazimierz i Paryż. On wybrał Kazimierz, Paryż zostawiając dla Pissassa.

Ponieważ ostatnio nie ma u nas już żadnego festiwalu bez muzyki cygańskiej, organizatorzy kazimierzowskiej imprezy nie chcieli być gorsi i zaprosili do siebie zespół z Olomuńca „Cymbalowa Muzyka”. Bracia Słowacy grali czardasza nie gorzej od bratanków Węgrów. Wystąpił także w Kazimierzu zespół folklorystyczny z Brzeźcia. Oczywiście jak przystało na naród, gdzie ludzie z pięknymi głosami rodzą się chyba na kamieniu, wszyscy soliści śpiewali jak sam Magomajew.

Najtrudniejszą natomiast drogę do występu na festiwalu miała jedna z młodych śpiewaczek z województwa lubelskiego. Rodzice nie chcieli jej puścić z domu, więc powiedziała, że jedzie śpiewać do kościoła, a przyjechała do Kazimierza. Wielu twórców ludowych przybyło tu własnymi samochodami, a jedna z poetek i gawędziarek ludowych, okazało się, że posiada własną knajpę na Podhalu. Dużą atrakcją festiwalu była damska kapela ludowa z Gródzka pow. Bełżan. Jest to kapela Kola Gospodyń Wiejskich złożona z zanych matron, z których najmłodsza liczy sobie zaledwie 54 lata. Najstarszy uczestnik festiwalu ma 84 lata.

Tak więc festiwal w Kazimierzu to raczej festiwal ludzi starszych wiekiem, ale młodych duchem, odwrotnie niż w Opolu i Sopocie.

Nie da się więc ukryć, że był to

festiwal różnych dziwów i osobliwości, festiwal pięknego rzepolenia i pełnego czystej poezji rymotwórstwa. W sztuce ludowej te rzeczy się jednak nie wykluczają.



Niech mu ziemia nasza...

— Tak, panie redaktorze, ja nie tylko znałem tego człowieka, ale jako rozumiejący się trochę na rusznikarstwie coś tam robiłem dla tego oddziału, którym dowodził przez pół roku, a co się tyczy pana zamiaru, to jestem nawet zadowolony, że zechce pan o nim napisać, bo on sobie na to zasłużył, żeby naród o nim pamiętał. Ja mu przecież sam zawdzięczam, że jeszcze nosi mnie święta ziemia.

Miszka, to znaczy jakby Michaś po naszymu, faktycznie był Tatarem, bo sam się do tego przyznawał, a rodem pochodził z Krymu. W swoim jednak przekonaniu, to on musiał już mieć w sobie trochę i ruskiej krwi. Może się mylę, ale na Tatara on mi nie bardzo wyglądał.

Nasz zwiadowca przyniósł wiadomość, że Niercy z terenu powiatu tomaszowskiego przechodzą w bilgorajski i obsadzają wioski położone koło lasów. Dowództwo nasze przyszło wtedy do wniosku, że my swoje zadanie wykonali i teraz trzeba powrócić do domów.

Nie obawiając, zaraz my się pożegnaliśmy z pozostającymi i ruszyliśmy w swoją stronę. Po przejściu ze trzech kilometrów ukryli my karabiny w młodych świerkach. Żal mi było jednak zostawić rewolwer, to go przywiązałem do kaleson i wpuszciliśmy w nogawicę.

Do skraju lasu dochodziliśmy my o zachodzie słońca. Już przed nami było widać naszą wioskę, a nad nią dymy unoszące się z kominów. Odsapnęliśmy my bo się wydawało, że we wiosce nie się nie dzieje. Przeszliśmy jeszcze paręnaście kroków i wtedy zza ostatnich krzaków wyskoczyło trzech sukkinsynów z wrzaskiem;

— Halt!
Mnie jakby kto oblał lodowatą wodą, a mój sąsiad stracił widocznie głowę i puścił się do ucieczki. Nie uciekłem daleko. Seria z automatu przeszła go na pół. Zwalnit się w śnieg jak snop zboża i grzebnął tylko nogą... Ten co strzelał, podszedł do zabitego jak do upolowanego warchlaka, a tamtych dwóch krzyczało już na mnie. Podchodząc z podniesionymi rękami na nie swoich nogach. Kiedy się zbliżyłem, coś zaszargotali po swojemu, ale i tak nie nie pojmowałem.

— Ja nie partyzant, ja leśny pracownik — tłumaczyłem. Obszukali mnie zaraz — na całe szczęście tylko powierzchownie, ale mnie na odmianę zrobiło się gorąco, żeby im nie przyszło do głowy obmacać mnie koło grzesznego miejsca...

— „Ausweiss” — zażądali. Zrozumiałem, że im chodzi o moje papiery. Sięgnąłem do kieszeni i pokazałem im zaświadczenie. Zaczęli czytać, a ja im tłumaczę, więcej rękami pokazując, że ja z tej wsi...

Potem pogнали mnie do swego oficera, co się zakwaterował u sołtysa. Ten oficer rozumiał trochę po naszymu i chciał mnie wzmówić, że mam bandytę. Moje tłumaczenie i poparcie sołtysa nie nie pomogły. Kazał mnie tymczasem zamknąć w piwnicy z kartoflami. To było dla mnie nawet na rękę, bo mogłem nareszcie pozbyć się tego rewolweru co mnie ciąglem palił jak ogień.

Kiedy już pozbyłem się tego kłopotu, zagrzebując go w kartoflach, trochę się uspokoiłem, bo teraz byłem czysty. Moja nadzieja na zwolnienie jednak się nie spełniła. Niemcy, wyjeżdżając ze wsi jeszcze tego samego wieczoru, zabrali mnie ze sobą i przywieźli do więzienia w Bilgoraju, skąd po paru dniach zostałem przetransportowany razem z innymi więźniami do Zamościa.

Teraz myślałem że już kłamka zapadła i nie ma żadnych widoków na moje uwolnienie. Słabą pociechą było tylko to, że jestem w Zamościu, a nie w Majdanku. Po prawdzie to i tutaj obrywałem za swoje na przesłuchaniu, a i głód osłabiał człowieka, aż mu przed oczami latały czarne łaty, kiedy się podnosił.

Przekonałem się jednak, że człowiek póki się w nim duch kolacze, nie tak łatwo traci nadzieję. I mnie się marzyło o różnych sposobach mojego uwolnienia. Raz było to rozbić więzienia. Drugim razem wyobrażałem sobie jak hitlerowcy po klęsce pod Stalingradem — o czym przecie wiedziałem jeszcze przed zamknięciem — zacząć dostawać coraz większego łupnia, aż portki potracą, zmykając do swojego zapowietrzonego gniazda. Wszystko to były jednak — jak to się mówi — marzenia świętej głowy.

A wyzwolenie moje, panie redaktorze, przyszło prędzej niż przypuszczałem. Bo skąd ja, chłop nieuczony, mogłem wiedzieć o takich kombinacjach... Później dopiero się dowiedziałem, że nasza organizacja miała jakieś możliwości wyrwania wilkowi ofiary nawet z gardła. Na to jednak potrzebne były ciężkie pieniądze. Gdzież by jednak o mnie, szeregowego przecie partyzanta, podjęto starania i wydatki, gdyby nie mój wybawiciel — Tatar Miszka. To właśnie na jego nalegania podjęto całą akcję. Miszka dostarczył potrzebną sumę pieniędzy. Skąd je zdobył? To już było jego sprawą, a ja nawet nie miałem śmiałości go potem o to zapytać.

Z więzienia wypuścili mnie przed samą Wielkanocą. Ach, panie redaktorze, co to była za radość znowu poczuć się na wolności!

W domu żona ucieszyła się z mojego powrotu, ale zaraz pomiarkowała, że ona prędzej musiała wiedzieć o moim uwolnieniu. Tak mi też wyznała, kiedy ją o to zapytałem. Wyjawiała mi poza tym, że wiadomość o staraniach w mojej sprawie miała nie tylko od miejscowej organizacji. Powiadomił ją też Miszka. Żeby jakoś okazać wdzięczność swojemu wybawcy, wydobylem z kryjówki lornetkę polową, postarałem się o wódkę, o kielbasę i miałem zamiar przekazać mu to wszystko, a także podziękować osobiście.

Moje starania o nawiazanie z nim łączności nie były proste. Dowiedziałem się, że Miszka, kiedy ja siedziałem w więzieniu, nawiązał współpracę z grupą jakiegoś Grzegorza, co przyszedł w tym czasie na nasz teren i miał reprezentować tych z Gwardii Ludowej. Z powodu tej współpracy Miszka wyruszył ze swoim oddziałem gdzieś aż za Bilgoraj i trzeba było na niego zaczekać, póki nie zjawi się w naszych lasach.

Czekałem dwie niedziele i dopiero w trzeciej dekadzie kwietnia dowiedziałem się od naszego łącznika o przybyciu Miszki na stare miejsce. Wybrałem się zaraz wieczorkiem i dla towarzysystwa wziąłem ze sobą jednego z naszych, co bywał już u Miszki, a oprócz tego miał od niego przepustkę.

Kiedy wyszliśmy my z ciemności, nikt specjalnie nawet nie zwrócił na nas uwagi, bo wszyscy klaskali w dłonie i patrzyli na swego dowódcę, wykonującego na niewielkim placu jakiś taniec.

Tego wieczoru Miszka już nie tańczył. Kiedy my wypili i pogadali, wziął gitarę, zagrał i zaśpiewał. Kiedy my się żegnaliśmy, zaprosiłem Miszkę, żeby mnie odwiedził. Obiecał przyjść. Przy pożegnaniu z Miszką nawet mi do głowy nie przyszło, że się więcej nie zobaczymy.

W końcu maja połączone oddziały Miszki i Grzegorza toczyły przez parę dni ciężką bitwę w okolicach Bilgoraja. Po tej walce Miszka znowu przyszedł w nasze lasy, żeby trochę dać wytchnienia swoim ludziom. Tym razem dłuższy odpoczynek nie był im sądzony, bo i my już nie mieliśmy takiego spokoju. Hitlerowcy i w naszej gminie spalili w maju wieś Szarajówkę, a ludność wymordowali. W sąsiedniej gminie spacyfikowali wieś Sochy i zaraz po tym, pierwszego czerwca, przyjechali na pacyfikację Józefowa. Tak między nami, prawdę powiedziawszy, to Józefów znany był jako ruchliwy ośrodek partyzantki. Działała tam dobrze przygotowana organizacja. Najazd Niemców był jednak tak nagły, że sami Józefowcy nie nie mogliby poradzić. Przy niespodziewanym okrajeniu miasteczka tylko parę osób zdążyło uciec. Z tych uciekających trafił ktoś — może nawet przypadkowo — na odpoczywający w lesie pod Józefowem oddział Miszki.

Na wiadomość o tym, co się dzieje w Józefowie, Miszka natychmiast poderwał swoich partyzantów i jak huragan poprowadził ich na pomoc zagrożonej, jak się później okazało, już skazanej na rozstrzelanie ludności.

Dla Niemców, otaczających pierścieniem osadę, atak partyzantów, pędzących ile sił ze wzgórz, musiał być tak straszny, że nie wytrzymali nerwowo. Zdążyli oddać tylko parę strzałów i zaraz ruszyli do ucieczki.

Wiadomo, że nie każda kula trafia w cel, a jeszcze mniej celna, kiedy ją się wystrzelili w nerwach. Dlatego nie wiem, jak to się mogło stać, że jedna z tych kul, wypuszczona z rozdygotanej broni, trafiła Miszkę, który pędził na czele oddziału i w biegu strzelał z erkaemu. Śmierć dowódcy jeszcze bardziej rozszalała partyzantów i chyba żaden z nich nie myślał o własnym niebezpieczeństwie, kiedy ścigał uciekających hitlerowców.

W kwadrans czasu miasteczko zostało oczyszczone. Ludność spędzona pod kościół i czekająca już tylko na śmierć, ocalała.

Nie było jednak wielkiej radości z tego ocalenia. Ludzie zaraz się rozbiegli do domów po najpotrzebniejsze rzeczy i zanim słońce skryło się za lasem, w Józefowie nie został ani jeden człowiek, bo każdy by przekonany, że Niemcy niedługo powrócą, ale z większymi siłami. Ludzie pokryli się w leśnych debrach za Sopotem, gdzie można było dojść tylko znanymi ścieżkami. Chłopcy z oddziału Miszki odchodząc z Józefowa, zabrali zwłoki swojego dowódcy i zaniesli do wioski odległej o parę kilometrów. Tam został on pochowany bez żadnego rozgłosu na miejscowym cmentarzu.

Kiedy przyszła do nas wiadomość o śmierci Miszki, to mnie tak coś zacisnęło, że nie mogłem wypowiedzieć słowa, tylko pomyślałem: „Niech mu ziemia nasza lekka będzie...”

Ja, panie redaktorze, miałbym osobiście

tylko tyle do powiedzenia o Miszce. Pan redaktor będzie pewnie pytał jeszcze innych i dlatego mam obawę, żeby pan nie uwierzył w plotki. A plotek o Miszce nie brakuje. Może pan usłyszeć, że w nazbyt ostrej dyscyplinie trzymał swoich partyzantów. Mogą panu opowiadać jeszcze inne rzeczy, jak choćby i to, że w czasie ataku na Józ-

zefów był pijany i z tego powodu gwałcił pierwszy przed innymi. Ja tam nie zamierzam na ten temat dyskutować, bo wiem, że drzwi można zamykać choćby w całej wiosce, ale nie robi się tego z ludzkimi gębami. Wiem poza tym, że gawrony nigdy nie dorównają orłom i tylko tyle ich, co się nakracza.



rys. E. Inglot

HENRYK HARTENBERG

Oddech centaura

Na samym początku
Była ziemia spalona —
Było niebo czerniałe —
Były miasta w zgłiszczach —
Były groby wdeptane w piasek —
A w zapleśniałych chatkach
Umarle kołyski wyznaczały drogę
W krajobraz dymiący —
I nie zginęła —
Na polach
Wyschły kłosa zboża —
Zwiędł kwiat czerwonego maku —
Głębiej pochylały się wierzby nad mroklivą wodą —
A w lekliwe południe (zamulone gęstą krwią)
Słońce odchodziło w ciszę ludzkiej rozpacz —
I drogę do świtu znaczyły groby — jak wyzwanie —
I nie zginęła —
Nocą szedł człowiek przez Kraj
Zapałał pochodnie — jak gwiazdę
A czerwony jego ogień otwierał bramy miast —
Przerzucił mosty — przynosił bunt
I kropkami ciemnego gniewu — zapalał oczy — czuwające —
I nie zginęła —
I oto wieher — jak oddech centaura
Przeszedł przez zbolalą ziemię —
I oto piorun uderzył w bramę opuchłą bólem —
(Za którą ptak nienawiści)
Oto rzeki stygające w popiele lat
Rozlały szeroko — zatapiając martwy widnokrąg —
I stał się Dzień — niepewtarzalny —
I miasto wyszło naprzeciw i ulica nieocalała —
I owoc w którym wilgoć i ogień —
I ziemia ciężka od chleba i sliwa dojrzała —
I sztandar odbudowanego Domu —
I hymn nowego nieba —
Tutaj — w miedzi — kamieniu i pamięci
Rzeźbił obraz klęski i stawania się —
Tutaj stokrotnym echem Manifestu
I linią prostą — „nie rozsypaną i nie pogubioną” —
I pieśnią dźwięczącą w bardonie
Powraca Lipiec —
Tutaj wszystkie drogi i ścieżki prowadzą do Ciebie —
I nie zginęła —
Niech będzie błogosławiony każdy kłos zboża
Dzwoniący w kryształ ludzkiego szczęścia —
Niech będzie błogosławiona każda wierzba
Szumiąca nad ocalałą wodą —
Niech będzie błogosławiona czerwień maku
Wrysowana w pejzaż rannych świtów —
Niech będzie błogosławiona winna latorośl
Dojrzewająca w czas obfitości —
Niech będzie błogosławiona czerwień i biel
Spływająca z zasłuchanych okien —
Napełnijmy więc czary
Niech nektar zaplonie na wargach —
W Nasze Święto —
W Święto Lipcowe —

Działalność niemieckiego wywiadu w Polsce w okresie międzywojennym jest często przedmiotem zainteresowania autorów powieści sensacyjnych. Choć ten rodzaj pisarstwa nie rozwinął się u nas tak jak w innych krajach, niemniej liczy sobie pokazną ilość tytułów książek, rzadko kiedy o większej wartości. Obfitość produkcji parali-rackiej i parahistorycznej w tej materii idzie w parze z bardzo niewielką liczbą poważnych publikacji historycznych. O wywiadzie niemieckim w Polsce przed 1939 r. historycy piszą stosunkowo od niedawna, mianowicie od czasu odtajnienia potrzebnych archiwaliów, co było koniecznym warunkiem dla poważnej pracy badawczej. Mamy więc dziś publikacje F. H. Gentzena o „Deutsche Stiftung”, tajnej organizacji rządu niemieckiego powołanej do organizowania „piątej kolumny” oraz o roli „Ostmarkvereinu”, udane studia S. Osinińskiego o wywiadzie i dywersji hitlerowskiej na Pomorzu Gdańskim w latach trzydziestych, wreszcie prace B. Maszłanki, M. Cygańskiego, R. W. Staniewicza. Do badaczy tej problematyki dołączył ostatnio Henryk Kopczyk, publikując w Wydawnictwie Morskim obszerną monografię „Niemiecka działalność wywiadowcza na Pomorzu 1920—1933” (1970). Jest to próba całościowego spojrzenia na aktywność wywiadu Rzeszy Niemieckiej na obszarze dawnego województwa pomorskiego, a więc na terenie, który „ze względu na swoje usytuowanie geopolityczne nie tylko stanowił obiekt nieustannych dążeń rewindykacyjnych niemieckich odwetowców, ale miał także ważne znaczenie strategiczne w wypadku polsko-niemieckiego konfliktu zbrojnego”.

Nie mając dostępu do archiwaliów zagranicznych autor ograniczył swą kwerendę źródłową do materiałów krajowych. Starał się — jak powiada — „wszechstronnie wykorzystać bazę źródłową, znajdującą się w archiwach państwowych i specjalnych i udostępnianą historykom, a dotyczącą działalności polskiego kontrwywiadu wojennego i cywilnego”. Dotarł do Centralnego Archiwum MSW, gdzie są przechowywane akta byłego Oddziału II Sztabu Głównego, do archiwów wojewódzkich z okresu międzywojennego, wykorzystał też niektóre materiały powojenne, w szczególności dotyczące procesów wytaczanych przeciwko osobom, oskarżonym o działalność przeciwko państwu polskiemu do 1939 r. „Głęboka analiza oraz wszechstronna konfrontacja dokumentów pochodzących z różnych źródeł: wywiadu i kontrwywiadu

wojskowego, policji politycznej, organów administracji państwowej, organizacji i związków mniejszości niemieckiej, uzupełnione materiałami prasowymi i uwzględniające dotychczasowe wyniki badań nad stosunkami polsko-niemieckimi umożliwiły podjęcie próby oświetlenia działalności wywiadowczej Rzeszy Niemieckiej na terytorium województwa pomorskiego w oparciu o tak zwane źródło — lustro”.

Można mieć oczywiście jakieś wątpliwości, czy historykowi zawsze udało się przezwyciężyć nieunikniony subiektywizm źródeł, którymi się posługiwał, można

Monografia H. Kopczyka obejmuje okres od odbudowy niemieckiego aparatu wywiadowczego po I Wojnę Światową do dojścia do władzy partii hitlerowskiej i zmierzania do ustalenia, jaki był „kapitał” wywiadu niemieckiego na polskim Pomorzu, który następnie — jak o tym pisał S. Osiniński — rozwinąć miała III Rzesza w latach 1934 — 1939. W związku z tym nasuwają się czytelnikowi dwie refleksje. Po pierwsze wydaje się, że koncentracja większości badań historycznych na okresie hitlerowskim zbyt często sprawia, że uchodzi naszej uwadze iż przygotowania do agresji przeciw Polsce, do których należy rozbudowana działalność wywiadowcza na obszarach Rzeczypospolitej, zanim podjął je hitlerizm, były już poważnie zaawansowane w latach

Historia niesensacyjna

też żywić nadzieję, że rozszerzenie kwerendy na archiwalia przechowywane w NRD i NRF przyniosłoby interesujące dla tematu rezultaty. Nie przeszkadza to jednak w niczym, że praca H. Kopczyka sprawia na czytelniku jak najlepsze wrażenie. Unikanie taniej sensacji, nasycenie materiałem faktycznym, bogactwem szczegółów idzie tu w parze z dobrą umiejętnością — jak się powiada w zawodowym języku historyków — organizowania materiału, książkę cechuje logiczna konstrukcja oraz jasna prezentacja wyników poszukiwań. Udało się autorowi uniknąć zawsze szkodliwego zaściankowego spojrzenia na badane zagadnienie, które ujął on w szerokiej perspektywie stosunków polsko-niemieckich epoki.

wcześniej. Po drugie zaś okazuje się, że już w okresie przedhitlerowskim niemiecka działalność wywiadowcza skierowana przeciw Polsce miała charakter wszechogarniający, totalny, obejmowała wszystkie formy aktywności szpiegowskiej, informacyjnej i dywersyjnej, jakie niebawem zostały szeroko rozbudowane po dojściu Hitlera do władzy. Lektura książki H. Kopczyka skłania wreszcie do sformułowania postulatu rychłego podjęcia analogicznych badań na materiale innych województw przedwojennego państwa polskiego. Dopiero bowiem w oparciu o takie opracowania częściowe można będzie uzyskać pełny syntetyczny obraz całości.

JÓZEF GRZELAK

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- ★ FELIKS BĄBOL — Bitwa o wielką wodę
 - ★ KRZYSZTOF DĘBICKI — Monte Carlo po polsku
 - ★ TERESA WOJCIECHOWSKA — Odzież na delegacji
 - ★ Sherlock Holmes do sprzedania
- oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

Wspominanie jako stworzenie

„Nie można być dobrym reżyserem bez samodzielności myślowej; to antyteza aktorstwa”. Zdanie to stawia na ostrzu noża problemy współżycia i współdziałania z sobą ludzi teatru, do których zaliczają się i aktorzy (którzy są dobrzy, jeśli nie myślą samodzielnie) i reżyserzy (którzy muszą myśleć samodzielnie, jeśli chcą zasłużyć na uznanie, na miano dobrych).

Zacytowane przed chwilą zdanie pochodzi z powieści Leszka Proroka „Czas stworzenia”^{*)}, której bohaterka jest reżyserem teatralnym. Więcej, jest to na pewno dobry reżyser. Jej inscenizacje zdobyły sobie uznanie nie tylko w kraju, ale i za granicą, gdzie też Joannę poznamy, jako uczestniczkę międzynarodowego kongresu teatralnego.

Mogłoby się wydawać, że „Czas stworzenia” to powieść „z życia ludzi teatru”, a więc powieść obyczajowa, z tym, że opisywane w niej obyczaje są „zakulisowe”. Istotnie jest w tym utworze sporo realiów współczesnego życia w teatrze, jest specyfika środowiska twórczego, które musi w sposób raczej konfliktowy znaleźć sobie nowe miejsce w świecie kultury, uzupełnianej i przekształcanej przez nowe możliwości techniczne radia, filmu i telewizji.

Obyczajowość jest jednak tylko pozornie obiektem zainteresowania pisarskich. Leszka Proroka interesuje raczej jako oryginalne tło, z którego w miarę kontynuowania lektury wylania się „rzecz psychologiczna”. Trudno w tym wypadku mówić o „portrecie” psychicznym Joanny, której refleksje o uczestnikach kongresu i reminiscencje z dalszej i bliższej przeszłości kończą się sceptycznie pesymistycznym wnioskiem: „...nikt nie zna całego ciągu mego życia, ci zaś, co poznali kolejne jego części, nie zetkną się nigdy wszyscy razem, a jeśli by to miało kiedykolwiek się przytrafić, wątpliwe, by chcieli zgodzić się całkowicie na mój los. Zresztą w nawet i tak nieprawdopodobnym przypadku pozostanie wiele nieujawnionego, które sama przeżyłam, niemożliwego do zwierzenia. Gdybym zaś zdołała się przemóc i znalazła formułę skutecznych zwierzeń, pozostanie i tak strefa nieświadomości. Na pewno tam sięgają korzenie mej genezy”.

Zgodnie ze starą dewizą „contra spem, spero” Leszek Prorok postanowił jednak napisać powieść o Joannie, która niekiedy myśli o sobie jako o drobnej fali w nurcie historii, zawsze widzi „wybujałą dziewczynę w góralskim kożusku, która w zatłoczonym przedziale kolejowym ścisła pod pachą teczkę pełną książek i zeszytów”. Dodajmy, że jest to koniec okupacji hitlerowskiej w Polsce, że dalszymi elementami tego „czasu stworzenia” kolejnej jednostki ludzkiej są pierwsze lata powojenne, spędzone przez bohaterkę głównie w Szczecinie i w Sławnie. Została potem „człowiekiem teatru”. Dlaczego właśnie wybrała ten zawód? Możemy się raczej domyślać. Samodzielność myślenia zdecydowała jedynie, że zamiast aktorką została reżyserem.

Od klasyfikacji zawodowej ważniejsza jest jednak klasyfikacja moralna. Joanna jest o tyle — pod tym względem — „w normie”, ponieważ nie neguje swojej wartości w życiu społeczeństwa. Ale brak fałszywej skromności nie oznacza jeszcze pewności siebie. Joanna jest świadoma swej samotności, pojmując niemożliwość przekazania komukolwiek całej prawdy o sobie i swym życiu, prawdy, która tylko jej jest znana. Dodajmy — jest to prawda czasu wspomnienia, czasu, który w życiu ludzkim staje się potrzebą w fazie przechodzenia z wieku dojrzałego do „późniejszego”. Tak oto czas wspomnienia przekształca się w czas stworzenia nie tyle faktów, co wyobrażenia sobie tego, co było determinantą wszystkiego późniejszego.

Jest więc ostatnia powieść Leszka Proroka „literaturą rozrachunkową”, jest próbą analizy, ale i próbą syntezy. Jest przejawem niepokoju, jaki draży współczesnego nam człowieka, świadomego — właśnie: na międzynarodowym kongresie teatralnym — swej przynależności do europejskiego narodu, który po drugiej wojnie światowej znalazł się na wielkim zakręcie historii.

EDWARD MARTUSZEWSKI

^{*)} Leszek Prorok „Czas stworzenia”, Czytelnik, Warszawa 1970, s. 277.

Wakacyjny Konkurs „Odgłosów”

Rozpoczął się sezon wakacyjno-wczasowych wędrowek, rozpoczęliśmy więc publikację zadań konkursowych, których tematem będzie Łódź i Ziemia Łódzka i związane z regionem tradycje historii i kultury.

Zadania konkursowe publikować będziemy w ciągu kilku tygodni — zasada ta sama, co w poprzednich konkursach „Odgłosów”. Odpowiedzi można więc nadsyłać systematycznie, można też rozwiązywać tylko poszczególne zadania konkursu. — Oczywiście odpowiadając na wszystkie pytania zwiększacie swoje szanse w ostatecznym losowaniu nagród.

- I nagroda — 1.500 zł w bonach towarowych
 - II nagroda — 1.000 zł w bonach towarowych
 - III nagroda — 500 zł w bonach towarowych
- oraz trzy wyróżnienia w postaci wydawnictw albumowych.

Odpowiedzi prosimy nadsyłać wyłącznie na kartkach pocztowych na adres: Łódź, „Odgłosy”, ul. Piotrkowska 96 — „Konkurs wakacyjny”.

ZADANIE KONKURSOWE NR 3

Wędrując tropami tradycji kultury nie możemy ominąć tego znanego regionu. Synem tej ziemi był wybitny malarz, Józef Chełmoński, urodzony we wsi Boczek. Zjechał pół Europy — studiował w Monachium, mieszkał w Paryżu, wędrował po Włoszech... Ale prawie cała jego twórczość wyrasta z pejzażu i realiów polskiej wsi.

Oto kolejne zadanie konkursowe — z jakim regionem Ziemi Łódzkiej związana jest postać Józefa Chełmońskiego?



Fot. J. Glowacki

EUGENIUSZ IWANICKI

URODZENIE PO WOJNIE

W dniach 19-22 lipca odbywał się w Katowicach Zlot Młodych Przdowników Nauki i Pracy. Przybyło ponad 6 tysięcy delegatów z całego kraju, najlepszych robotników, rolników i studentów, przodowników pracy, aktywnych uczestników młodzieżowych akcji, czynów społecznych ZMS, ZMW, ZSP i ZHP. Było to wielkie święto młodych, festyn ku czci 27 rocznicy wyzwolenia naszych ziem, a jednocześnie manifestacja zaangażowania w pracę zawodową i społeczną.

Na zlocie nie zabrakło także przedstawicieli Ziemi Łódzkiej, tych którzy swoją pracą tworzą dzień dzisiejszy naszego kraju.

Na kilka dni przed wyjazdem delegacji do Katowic odwiedziłem organizację zakładową ZMS przy Pabianickich Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Bojowników Rewolucji 1905 r. „Pamotex” w Pabianicach.

Rozległe hale, setki krosien, piekielny hałas przyprawiający o ból w uszach, białe nici przędzą nity struny niezwykłych instrumentów, gdzieś tam pojedyncze sylwetki

dziewczyn pochylonych nad maszynami — to pejzaż tkalni „Polana”. — Jak one tu wytrzymują? — krzyczę wprost w ucho przewodniczącego ZZ ZMS Bogusława Zaręby, lecz nie słyszę własnego głosu. Nie słyszę także odpowiedzi na pytanie, tylko ruch ust jest dowodem, że coś do mnie mówi. Dopiero na gorze, gdzie nie dociera ten potworny hałas, mogę zanotować jego odpowiedź.

— Pracują i to jeszcze jak! Prawie każda wykonuje ponad 100 proc. normy. To wspaniała załoga, te dziewczęta.

Dowieduję się więc: że w tkalni panuje hałas dochodzący do 110 decybeli, że mają nie kończące się kłopoty z dachem, na którym zimą skrapla się para i woda spadając brudzi osnowę, tkaniny i ludzi, co powoduje wiele konfliktów i straty w jakości towarów, że w budynku starej tkalni z braku odpowiedniej klimatyzacji temperatura niekiedy przekracza +30 stopni C, że nieustanny brak cewek „Northropa” nie pozwala na zwiększenie produkcji;

że zakład zapotrzebowuje 20 tys. cewek, a otrzymuje zaledwie 7-8 tys., bowiem producent Zakłady Cewek w Grzmięcej nie ma możliwości zwiększenia ich produkcji ze względu na brak odpowiedniej suszarni;

że inwestor, który budował nową tkalnię, nie zabezpieczył właściwej konstrukcji dachu nad halą produkcyjną i od dwóch lat przeprowadza prace remontowe, które oby zakończyły się w tym roku;

że w hali „pracuje” 320 krosien obsługiwanych przez osiem zespołów (7 pracuje na trzy zmiany, jeden jest dwuzmianowy dla matek mających małe dzieci);

że w tkalni pracuje sama młodzież w wieku 18-30 lat, i że jest to jedna z lepszych tkalni PZPB; że są tu dwie Brygady Pracy Socjalistycznej, a pozostałe ubiegają się o ten tytuł.

Dziewczęta z tkalni „Polana” wystąpiły z wnioskiem o podniesienie jakości w pierwszym gatunku, co w rezultacie przyniesie dochód w granicach 70 tys. złotych kwartalnie (jest to dodatkowo 6000 metrów tkaniny w pierwszym gatunku). Ponadto wysunięto wniosek o oszczędność surowca zmniejszając odpady przędzy osnowowej i wątkowej.

Najbardziej wyróżniają się w pracy: Stanisław Kubera — mistrz zmianowy tkalni, który zdobył I miejsce w eliminacjach wojewódzkich IX Turnieju Czytelniczego ZMS, a w eliminacjach ogólnopolskich V miejsce, Kazimierz Olesko — mistrz salowy tkalni (jego zmiana wykonuje 102 proc. normy), Zofia Głęb — tkaczka na 14 krosnach automatów (114 proc. normy), Barbara Frontczak — tkaczka na 6 krosnach mechanicznych (122,2 proc. normy), Barbara Tatkowska — tkaczka na 12 krosnach mechanicznych (112,1 proc. normy), Zofia

Szymczak — tkaczka na 14 krosnach automatów (115 proc. normy).

Wszyscy członkowie ZMS są absolwentami albo zasadniczej szkoły włókienniczej albo technikum włókienniczego. 12 osób uzupełnia wykształcenie w zakresie szkoły średniej technicznej, a troje studiuje na Politechnice.

Właściwie na wszystkich oddziałach młodzież zrzeszona w ZMS stara się wyróżnić zarówno w pracy jak i w podejmowaniu czynów społecznych w odpowiedzi na hasło „Dar Ojczyźnie”. Z dotychczasowych osiągnięć wynika, że na katowicki zlot przedstawiciele PZPB powióżą niebagatelny meldunek, mówiący o ich codziennym wysiłku, o ich pracy i zaangażowaniu w sprawę kraju i narodu.

Grupa ZMS z Samodzielnego Oddziału Wykonawstwa Inwestycyjnego, której żywot liczy dopiero pół roku, zdążyła zastąpić się poważnym dorobkiem w pracach społecznych. Czternastu członków ZMS zmontowało dwie maszyny włókiennicze, zgrzeblarki, co dało 16 tys. zł. oszczędności, przepracowali 336 godzin przy urzędowaniu zakładu, a ponadto na zakończenie planu półrocznego pracowali przez trzy dni przy remoncie kapitalnym przedzarki obrączkowej, skracając termin jej oddania o 4 dni. Dało to w sumie 350 tys. zł. zysku. Wyróżnił się tu: Bogusław Szymtke — ślusarz, przewodniczący oddziałowego koła ZMS, oraz dwaj inni ślusarze Mieczysław Szkudlarek i Mieczysław Marianowski.

Przodujących zetemesowców w PZPB jest wielu. Na przedzaln „Łąki” wyróżnia się pracownica magazynu Krystyna Olkusz, na tkalni „Centrala” — tkaczka Barbara Adamec, na „Farbiarni” — pracownik fizyczny Jerzy Adamek, na „Drukarni” — pracownik fizyczny Marek Kilańczyk.

Za wybitne osiągnięcia w pracy zawodowej, za czynny i twórczy udział w życiu organizacji i w życiu swojego zakładu pracy dwoje członków ZMS z PZPB będzie reprezentować młodzież naszego województwa na Zlocie w Katowicach. Rozmawiałem z nimi. Są zażenowani tym wyróżnieniem, nie spodziewali się takiej nagrody. Maryla Wojtczak — laborantka z przedzalni „Łąki”, lat 24, pracuje już tu 9 lat, w organizacji młodzieżowej od 1964 r. Przyszła na rozmowę wprost z laboratorium, skromna, niechętnie mówi o sobie. Chce aby wszyscy młodzi otrzymali wreszcie własne mieszkania, żeby koleżanki mające małe dzieci mogły oddawać je do żłobka, a same jak dawniej przychodzić na zebrania czy na wieczorki. Karol Adameczyk — instalator urządzeń sanitarnych z oddziału głównego mechanika, lat 28, od dziesięciu lat w PZPB, tyle samo w ZMS. Przyszedł w roboczym kombinzonie, wysoki, opalony, silny. Na zlocie chciałby przedstawić osiągnięcia swojego zakładu, chce mówić o zadaniach jakie oddziałowa organizacja postawiła sobie na najbliższą przyszłość. Chcemy — mówi — być współgospodarzami naszego zakładu pracy, a nie jego biernymi uczestnikami, chcemy aby nie decydowano o nas bez nas.

Jego słowa potwierdza przewodniczący ZZ ZMS Bogusław Zaręba. Akcja szerszego udziału młodych w życiu zakładu jest rozpoczęta od dawna. Mówi się o tym, piszą nawet w swojej zakładowej gazecie. Szczególnie dotyczy to posiedzeń

aktywny na poszczególnych oddziałach. Nie zawsze prosi się na nie przedstawicieli młodzieży, choć są omawiane sprawy ludzi młodych. Zdarzyło się na przykład, że jeden z kierowników oddziału udzielił nagany młodemu pracownikowi, lecz po zbadaniu sprawy przez ZMS okazało się, że nagana była niesłuszna. Kierownik jednak nie chciał cofnąć swojej decyzji ze względu na prestiż. Dopiero gdy sprawa stanęła na egzekutywie POP — kara została zdjęta. Sprawy tego typu jest więcej. Nie tak dawno z inicjatywy ZMS przeprowadzono batalię o zwiększenie premii eksportowej dla pracowników z oddziałów pomocniczych, takich jak głównego mechanika, transportu, działu głównego energetyka. Dotychczas otrzymywali premię w wysokości 3 proc., ponieważ nie byli bezpośrednio związani z produkcją na eksport a wykonywali jedynie prace pomocnicze dla oddziałów eksportowych. Obecnie, po zwycięskiej batalii, premia została podniesiona do 5 proc.

Zmienił się także stosunek starszych pracowników do młodzieży przychodzącej do zakładu. Jeszcze nie tak dawno majstrów i robotnicy strzegli swojego zawodu, nie bardzo chcieli wtajemniczać młodzieńców w tajniki włókienniczego fachu. Dziś ta sprawa przeszła do historii. Życie obaliło mity o hermetyczności poszczególnych zawodów. Starzy byli przyzwyczajeni do starych maszyn, po wprowadzeniu nowych maszyn okazało się nagłe, że starzy przestali nadążać za młodymi, że technika, mechanizacja, jest dla nich nowa, nie zawsze zrozumiałą dziedziną. Nierzadko więc dziś się zdarza, że stary mistrz pyta młodego o radę.

Organizacja ZMS przy PZPB zrzesza 800 osób, działających w 22 kołach oddziałowych. Aktualnie istnieje 57 Brygad Pracy Socjalistycznej, dalsze 61 brygad ubiega się o ten tytuł. W tym roku wprowadzono cztery formy współzawodnictwa: najlepszy w zawodzie, najlepszy zespół mistrzowski, najlepsza brygada PS, najlepszy oddział lub wydział. Jeszcze rok temu, na rzecz miasta i zakładu zetemesowcy z PZPB przepracowali 3.370 roboczogodzin, a w tym roku w akcji „Dar Ojczyźnie” dotychczas uzyskano już 474 tysiące złotych. Każdy oddział, każde koło ZMS w miarę sił i możliwości podejmuje zobowiązania, które przyniosą konkretne korzyści. Obok tego istnieje szereg innych form pracy, godnych naśladowania. Warto tu wspomnieć o klubie „Przy kominku”, którego działalność niekiedy wybiega daleko poza mury zakładu pracy. Za swoją działalność w szerzeniu kultury klub ten zajął w województwie I miejsce.

Inną, nie mniej ważną formą działalności organizacji ZMS przy PZPB jest opieka nad młodymi robotnikami, którzy podejmują pracę w zawodzie włókiennika. Oddziałowe organizacje natychmiast przydzielają nowicjuszy starszego koleżkę, który wprowadza go w zagadnienia samej pracy, struktury organizacyjnej zakładu, służy pomocą, opiekuje się nim. Jest to nowa forma i myśl, że bardzo słuszną, godną polecenia.

Zetemesowcy z Pabianickich Zakładów Przemysłu Bawełnianego mieli o czym mówić na Zlocie Młodych Przdowników Pracy i Nauki.



„Kadr 71” — Andrzej Grun

EWA OSTROWSKA

LALE CZKA

TO JEST MAMA ELI. A TO TATO. Ela siedzi w pięknym wózku, ma futerko z puszystym kapturem. Futerko i wózek są drogie. Taki wózek kosztuje w prywatnym sklepie ponad dwa tysiące złotych, a może i więcej. A futerko? Też musiało kosztować bardzo dużo pieniędzy. Mama pochyla się nad tym droгим wózkiem i nad Ela, ubraną w drogie futerko. Mama pochyla się troskliwie, kochająco, z uśmiechem. Tato również pochyla się nad Ela z kochającym uśmiechem. Ela ma na tym zdjęciu rok i cztery miesiące.

A TU ELA CHODZI. Bardzo

śmiesznie chodzi na swoich krótkich, pulchnych, małych nóżkach. Mama i tato zaśmiewają się wtedy do łez i mówią: ach, jakie to jest uroczę dziecko. Ach, jakie to uroczę, szczęśliwe dziecko, z całą pewnością tak myślą sobie ludzie, którzy przechodzą parkiem i widzą, jak mama pochyla się kochająco nad Ela.

Wszystkie zdjęcia Eli można znaleźć w specjalnym albumie. Album został oprawiony w skórę i podpisany: ELA, NASZA CÓRECZKA.

Zawsze mówiono o Eli, że urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą. Była ślicznym dzieckiem, jak z o-

brazka, takim dzieckiem ludzie lubią się zachwycać.

A TO MAMA, TATO I ELA na spacerze. Bardzo ładne zdjęcie. Widać na nim dokładnie piękną sukienkę Eli, sukienka jest z koronki. Widać małe lakierki, lakierki zagraniczne z komisu, sukienka też z komisu. Zagraniczna. Czego może jeszcze brakować do szczęścia temu dziecku ubranemu w koronkową sukienkę, które idzie trzymając za rękę swoją mamę i swego tatę?

Nie bez powodu mówiono o Eli, że urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą. Tak mówiono jeszcze w szpitalu, od początku. Z takim ślicznym dzieckiem nie będzie kłopotu.

A TO ZNOWU ELA w swoim pokoju. Razem z misiem, Miś ma przewiązaną różową kokardę na grubej szyi i wygląda bardzo śmiesznie. Mama robi zdjęcie Eli z misiem i cieszy się: Jesteś laleczką. Laleczko, proszę cię o przyjemny wyraz twarzy. Główna wyżej. Dobrze, laleczko. Ela śmieje się. Mama wykazuje olbrzymią cierpliwość, godzinami bawi się z Ela. Przebiera ją do zdjęć w najładniejsze sukienki, wymyśla różne ucze-

sania, przymierza Ela z misiem, pajacykami, piłką, każe stawać przy oknie, kłaść się na kocu, marszczyć noskę, wkładać paluszek do buzi, mama bowiem pragnie, aby zdjęcia, które później tak starannie wkleja do albumu: ELA, NASZA CÓRECZKA, były jak najładniejsze. Mama Eli bardzo lubi ładne rzeczy.

Dlatego spodobała się jej Ela. Od razu. Od samego początku. Zawołała: chcę tę. Jaka śliczna. Jak laleczka. I dzięki temu Ela ma teraz mamę, która ją kocha, robi jej zdjęcia i tatę, który też, oczywiście kocha, i też robi zdjęcia. Ela miała rok i dwa miesiące, kiedy tak bardzo spodobała się swojej mamie. Ela urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą, i nie było z nią kłopotów.

Jestem twoją mamą. Ma-ma. Prędko Ela nauczyła się wymawiać: ma-ma, ta-ta. Mama była zachwyciona. Uważała, że wygrała Ela jak główny los na loterii. Jest nie tylko śliczna jak laleczka, ale zupełnie prawidłowo rozwinięta. I mama poszła do sklepu, kupiła duży, drogi album do zdjęć, na tym albumie wykaligrafowała: ELA, NASZA CÓRECZKA.

Znajomi też powtarzają: Ależ wygrałście los na loterii z tym dzieckiem. Prześliczne i mądre.

Mama promienieje. Mama jest dumna ze swojej córeczki. Bardzo ją kocha. Wszystkimi opowiada, jak bardzo kocha Ela. Zresztą wszyscy to widzą.

Przedtem, zanim mama miała Ela, hodowała psiki. Tylko rasowe, z rodowodem, mama lubiła ładne, rasowe psiki. Każdy z psików miał swój album ze zdjęciami. Były tam psiki w różnych pozach, psiki tresowane, zadbane.

ELA, NASZA CÓRECZKA, Mama cieszy się, że ma Ela. Dba o nią; wyprowadza ją na spacer przy słonecznej pogodzie. Układa sama spać. Przykrywa kołderką. Całuje. Psiki. Opowiada swoim znajomym, jak się Ela mądrze zachowuje, jaka jest w ogóle mądra, najmądrzejsza. Pokazuje zdjęcia. Album ze zdjęciami Eli jest zawsze pod ręką, blisko. Albumy psieków powędrowały do szuflady w biurku. Gdy mama wybrała sobie Ela, ostatniego psika prędko sprzedała. Dziecko ważniejsze niż pies, sprawa więc oczywista.

HANIA, NASZA CÓRECZKA. Hania siedzi w pięknym wózku, ma

Talent jest zawodny, rzemiosło — pewne

O problemach wokalistyki z Andrzejem Saciukiem rozmawia Teresa Wojciechowska



wieloletniego solisty La Scala, znakomitego pedagoga włoskiego Gino Bechi, który wyraził chęć przyjazdu do nas na warunkach bezdewizowych, zainteresowany polskimi głosami. Głosami, jego zdaniem nie wykorzystanymi. Jego przyjazd byłby okazją do spotkania, zapoznania nas z klasyczną włoską szkołą śpiewu. Niestety, nikt u nas nie jest tym przyjazdem zainteresowany. Dlaczego?

— Mówiła mi kiedyś Pańska żona, że usłyszała w Wiedniu opinię, iż Polacy marnują talenty wokalistyczne, gdyż wszyscy śpiewacy wszystko śpiewają.

— To właśnie jest ta druga płaszczyzna, o której chcę mówić. Chodzi o to, że młodzi śpiewacy, po ukończeniu studiów, przynależą do teatru odarzeni głosem, ale pozbawieni doświadczenia scenicznego, z niedostatecznie opanowanym rzemiosłem, techniką śpiewania. I z miejsca są obsadzani w pierwszoplanowych rolach, do których brak im umiejętności i rutyny, nierzadko w rolach, nie odpowiadających ich gatunkowi głosu. Dyrektorzy teatrów zapominają, że młodych śpiewaków trzeba szkolić, trzeba rozwijać ich talenty powoli, przez długie lata stopniując zadania wykonawcze na scenie. Historia kariery wielkich śpiewaków o światowej sławie jak niezjący już Włoch Anselmi, czy liczący dziś 58 lat Anglik Charles Craig, którego głos ma świeżość i blask dwudziestolatka, wykazuje jak wielkiej cierpliwości, pokory i skromności potrzeba, by poprzez nieustanne szkolenie głosu, poprzez partie małe i średnie dojść do wielkich, a tym samym do wielkiej sławy.

Tymczasem u nas na debiut daje się modemu śpiewakowi wielką czołową partię, niszcząc w ten sposób jego karierę. Jest obowiązkiem teatrów układanie repertuaru nie tylko z myślą o widowni, lecz również pod kątem potrzeb szkoleniowych śpiewaków. A także układanie repertuaru pod kątem „stanu posiadania” wokalnego. Tymczasem u nas nagina się raczej głosy do repertuaru, obsadzając je w niewłaściwych partiach. Jednym słowem prowadzi się u nas rabunkową gospodarkę głosami, co w rezultacie daje przedwczesny koniec kariery.

Talent jest zawodny, rzemiosło niezawodne. Dlatego na teatrach spoczywa obowiązek stałej troski o zdrowie wokalne młodych śpiewaków, o ich właściwe prowadzenie. Dla celów szkoleniowych teatry operowe powinny wystawiać co najmniej dwa oratoria, lub oratorium i koncert chóru w sezonie. Taka praktyka istnieje w największych operach, między innymi La Scali. I mimo, że powstał przy łódzkiej WSM wydział wokalo-aktorski, Teatr Wielki powinien wrócić do projektu powołania studia przy Operze. Wielu utalentowanych śpiewaków nie może pozwolić sobie czy to ze względów rodzinnych, czy ze względu na wiek — na 6-letnie studia w szkole muzycznej.

Jeszcze inną sprawą jest u nas

brak korepetytorów, funkcji, którą Włosi nazywają maestro concertatore. Akompaniatorów-pianistów słyszających wokalnie, pomagających w kontrolowaniu głosu. Nie ma ich u nas już prawie wcale i wydaje mi się, że studia pianistyczne powinny przewidywać taką specjalność.

W rezultacie, młody śpiewak, który zaczął śpiewać w operze, często na wstępie źle obsadzony, nigdy przedtem nie miał możliwości skonfrontowania swego głosu i umiejętności z publicznością. Opera to jego pierwszy krok na scenie, nie poprzedził go inne, mniejsze, bardziej kameralne spotkania z publicznością. Dlatego cztery lata temu zaproponowałem, by zorganizować stałe koncerty wyjazdowe o charakterze kameralnym, w których mogłyby się sprawdzić młodzi wokaliści. Koncerty takie mogłyby się odbywać w miastach województwa, takich jak Sieradz, Piotrków, Rawa Maz. czy inne i poza korzyścią dla wykonawców przyniosłyby korzyść również tym miastom, przyczyniając się do ożywienia życia kulturalnego. Od strony organizacyjnej jest to domena „Estrady”. Ale „Estradzie” „nie oplatano się” i sprawa upadła. A przecież koszty imprezy byłyby minimalne, znacznie mniejsze niż innych często deficytowych zespołów.

— Bywa Pan często za granicą i zna system pracy teatrów zachodnich. Jakie są zasadnicze różnice w stylu pracy?

— Przede wszystkim muszę powiedzieć, że mitem są dość powszechne wyobrażenia o rzekomo olbrzymich zarobkach artystów na Zachodzie. Tam ocenia się i płaci wyjątkowo za pracę i jej efekty. Praca w teatrze jest nieprawdopodobnie intensywna, jej tempo pozwala zrobić więcej, lepiej i szybciej. A jednocześnie daje więcej czasu na pracę własną i odpoczynek. Myślę, że istnieje też pewna różnica w atmosferze i stosunkach między artystami. U nas mam uczucie, że zbyt wielu koleków chce, bym zaśpiewał gorzej od nich. Tam koledzy chcą zaśpiewać lepiej ode mnie.

— Żeby nie kończyć tak przykrym akcentem, niech nam Pan powie na zakończenie — jak długo chciałby Pan pozostać na scenie?

— Jak każdy — jak najdłużej. To marzenie. Ale odejść w porę — to rzeczywistość. A tak naprawdę to zobaczymy.

— Dziękujemy za rozmowę i do zobaczenia (Pana) na scenie.



Z Andrzejem Saciukiem, solistą Teatru Wielkiego, rozmawiam nie po raz pierwszy, choć wcale niełatwo zastać go w Łodzi. A nawet w kraju, bo artysta z nieślabnącymi sukcesami często występuje za granicą.

— Jak minął sezon?

— Dość pracowicie. W październiku ub. roku — ZSRR. Śpiewałem „Borysa Godunowa” Musorgskiego w Tbilisi. Był to mój debiut w tej operze, Godunowa śpiewałem na scenie po raz pierwszy. Występ ten był dla mnie jeszcze bardziej uroczysty o tyle, że śpiewałem w kostiumie Fiodora Szalapina. Pochodzi on z pierwszych lat naszego stulecia, jest to wspaniały kostium koronacyjny, sztyt złotymi nićmi, zdobiony kryształowymi kamieniami. W październiku tego roku jestem znów zaproszony do Związku Radzieckiego.

Kończąc się sezon przyniósł mi też występy we Francji, w Lille, gdzie śpiewałem Mefista w „Faustie” Gounoda. A w kraju, na zamknięcie sezonu w Filharmonii Narodowej — „IX Symfonię” Beethovena i „VIII Symfonię” Mahlera.

— Krążą pogłoski, że wyjeżdża Pan na stałe do NRF?

— Zawarłem kontrakt z Musiktheater w Gelsenkirchen, co nie oznacza, że wyjeżdżam na stałe z Polski. Moja współpraca z Teatrem Wielkim w Łodzi opiewa na 20 przedstawień w sezonie. Ale to dopiero sezon 1972/73, a nie nadchodzący.

— A w najbliższej przyszłości?

— Wygląda na to, że nie będę miał wakacji. W końcu lipca jadę z Teatrem Wielkim do Lubliany w Jugosławii, gdzie damy dwa przedstawienia: „Kniaź Igora” i „Tragedję o Janie i Herodzie”. Przedtem jeszcze Bułgaria — występ w Filharmonii w Burgas. Potem, w drugiej połowie sierpnia festiwal „Vratslavia Cantans” gdzie będę śpiewał w Elsnera „Historii Meki Pańskiej” i w „Requiemie” Verdiego, „Requiem” powtórzę w Katowicach z WOSPR-em na otwarcie sezonu. We wrześniu zaśpiewam „Borysa Godunowa” w premierze krakowskiej, a następnie w Bydgoszce czeka mnie prawykonalanie utworu

Romualda Twardowskiego „Trzy sonety żalobne” napisanego na bas i orkiestrę symfoniczną. Utwór ten jest mi szczególnie bliiski, bo Twardowski skomponował go z myślą o mnie jako wykonawcy partii wokalne. No i potem wyjazd, o którym wspominałem do ZSRR, a także do Francji.

— To będzie pracowity sezon!

— Ależ to jeszcze nie wszystko. Z Haliną Gryglaszewską z Krakowa przygotowujemy recital poetycko-muzyczny „Pieśni żartobliwe”. Będzie to wybór żartobliwych pieśni w przekroju historycznym. Mam zamiar włączyć do niego utwory współczesnych kompozytorów łódzkich. Premiera tego programu odbędzie się na Wawelu w Krakowie, potem wystąpimy na zamku w Szczecinie, w Olsztynie itd.

— Miejmy nadzieję, że i w Łodzi. Bo tak się jakoś składa, że tutaj mało Pana słyszymy, a już wszystkie swoje premiery odbywa Pan albo poza Łodzią, albo poza krajem.

— W Łodzi czeka mnie też interesująca premiera. Nasz Teatr wystawi w przyszłym sezonie nową pozycję polską: „Henryk VI na łowach”. Ciekawa jest jej geneza. Nasi muzycy Sulkowski i Dobrzyński zainteresowali się operą Karola Kurpińskiego „Pałac Łucypera”. Ma ona dobrą muzykę i złe libretto. Do tej muzyki Wojciech Młynarski napisał na podstawie „Henryka VI na łowach” Wojciecha Bogusławskiego nowe libretto. W ten sposób na scenie łódzkiej nastąpi spotkanie dwóch wybitnych osobistości ich czasów — Bogusławskiego i Kurpińskiego, którzy za życia nigdy się na scenie nie spotkali. Reżyserować będzie Kazimierz Dejmek i muszę powiedzieć że bardzo się na tę współpracę cieszę.

No i to byłoby już wszystko. W sierpniu 1972 wyjeżdżam do NRF, gdzie w ciągu sezonu będę miał pięć premier, w tym dwie duże: „Borys Godunow” i „Don Carlos”.

— Bardzo pracowite perspektywy. Ile lat Pan już śpiewa?

— Wkraczam w dwudziesty pierwszy sezon występów na scenie, z tym, że wliczam również lata, kiedy śpiewałem w chórze.

— Jak na polskie stosunki, to bardzo długo. Rozmawiając z ludźmi opery, z uporem zadają im pytanie: dlaczego tak się dzieje, że sceniczny żywot wielu naszych śpiewaków jest tak krótki, że tak często piękne i świetnie zapowiadające się głosy giną gdzieś po 2—3 latach, kończą karierę zanim ją zaczynają. Nomina sunt odiosa, ale przecież i w Łodzi nie brakuje takich przykładów. Wydaje mi się, że jest to problem poważny i ważny, groźny dla naszych teatrów operowych, nie mówiąc już o tym, że za każdym takim przypadkiem kryje się tragedia osobista, dramat zawiedzionych nadziei i ambicji.

Istotnie, jest to sprawa poważna i dostrzeżona już za granicą. Mówi się tam, że jesteśmy krajem-kopalnią pięknych głosów, które marnujemy. Moim zdaniem przyczyną tego stanu rzeczy należy rozpatrywać w dwu płaszczyznach. Pierwszą z nich nazywałbym pedagogiczną. Ostatnia wojna, zniszczyła pokolenie śpiewaków, które dziś mogłoby stanowić kadrę pedagogiczną. A ci, którzy są, nie są właściwie wykorzystani. Ostatnio Wyższa Szkoła Muzyczna naprawiła poważny błąd w tej dziedzinie i wreszcie powierzyła Antoniemu Majakowemu klasę śpiewu. I ja nie chciałbym tu operować nazwiskami, ale mamy w Łodzi jeszcze wielu świetnych solistów, którzy śpiewają już niewiele, a którym nie umożliwiono wykorzystania ich wiedzy i doświadczenia dla kształcenia młodzieży. A pedagogami często są ludzie, którym nie udało się zrobić kariery śpiewackiej i którzy nie mają również danych na pedagogów.

Być może z tego faktu wynika obawa przed konfrontacją z zagranicznymi pedagogami, przed wymianą doświadczeń z nimi. Od pięciu lat staram się zainteresować różne czynniki na różnych szczeblach przyjazdem do Polski

przecież o córeczce przez całe życie. Bardzo ją pragnęła mieć.

Zdjęcie Eli w szkolnym mundurku należy do ostatnich. Potem mama przestała robić Eli zdjęcia. Przeszła się z nią bawić w szkołę, przestała się bawić w inne gry. A gdy wróciła ze szpitala ze swoją prawdziwą córeczką, zabroniła Eli zbliżyć się do niej, ponieważ to niehygieniczne. Mama zawsze ściśle przestrzegała wszystkich przepisów higieny.

I więcej zdjęć Ela już nie ma. Tato i mama robili teraz zdjęcie Hani, swojej prawdziwej córeczce. Nie ma więc tego zdjęcia: Ela stoi przed mamą. Ela, taka śliczna dziewczynka jak laleczka, której właśnie szczęśliwa gwiazda przysłała. Ela mówi: mamę. A mama mówi: Rozwiązaliśmy stosunek o adopcji, wrócisz do Domu Dziecka. Ela powtarza: mamę. Nie rozumie wciąż jeszcze, co to znaczy, to jest dla niej zbyt nagłe, co to może oznaczać: rozwiązaliśmy stosunek o adopcji, wrócisz do Domu Dziecka? Bardzo trudne do zrozumienia. Ale nie niemożliwe. Zwłaszcza, jeżeli mama tłumaczy, mama jest dokładna.

Ela, mała laleczka na nie zrobio-

futerko z puszystym kapturem. Futerko i wózek są bardzo drogie. Mama pochyla się nad wózkiem, kosztującym masę pieniędzy i nad Hanią, ubraną w bardzo drogie futerko. Mama pochyla się troskliwie, kochająco — z uśmiechem, jak każda prawdziwa matka, która kocha swoje prawdziwe dziecko.

A TU HANIA na białym kocu, mały golasek, przewrócony pupą do góry. Mama stoi nad Hanią, śmieje się, oczy jej błyszczą, zwilgotniałe, że ma wreszcie prawdziwą córeczkę. A tu Hania w beczku, przystrojona koronkami. I w białym łóżečku, podobnym do tego, w którym sypiała Ela, nasza córeczka. Ale teraz to jest łóżečko Hani.

A gdzie Ela, nasza córeczka? Tu jeszcze płacze się jakiejś jej zdjęcie: Eli w szkolnym mundurku.

Ela w szkolnym mundurku: plisowana spódnica, bluza z marynarskim kołnierzem, beret, spod którego wymykają się niesforne lokki, tornister na plecach. Mama właśnie bawiła się z Ela w szkołę. Uszyła jej mundurek, kupiła beret, tornister, zeszyty, kredki, piórniki, nawet elementarz. I była pyszna zabawa. Ela siedziała nad elementarzem, powtarzała: To As. A to

mama. A to tato. Mama uczyła Eli czytać i pisać. Mama naprawdę chciała, aby Ela była najmądrzejsza.

I to właśnie zdjęcie Eli w przebraniu uczennicy zapisało się w albumie: HANIA NASZA CORECZKA. W jaki sposób? Pewno przez zwykły przypadek, albo niedopatrznie chociaż trudno o jakiegokolwiek nie dopatrzenie posiadzić mamę, ona zawsze wszystko kładzie na swoim miejscu i w jej domu nie ma prawa się plątać. Przecież album ze zdjęciami Eli, naszej prawdziwej córeczki, odożony na półkę w szufladzie, razem z albumami pieśków, których mama wyrzekła się dla Eli, aby zaoszczędzić wymogom higieny.

Hania, nasza córeczka. Zajęła pokoić Eli. Zajęła jej łóżečko, tylko pościel została przez mamę kupiona nowa. Wózek też mama kupiła nowy, tamten po Eli był już niemodny. I teraz Hania jest jak laleczka, chociaż Hania wcale nie jest aż tak ładna, jak Ela. Hania jednak naprawdę urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą. Ta szczęśliwa gwiazda Hani jest jej prawdziwą mamą, która prawdziwie kocha swoją prawdziwą, przez siebie urodzoną córeczkę. Mama marzyła

nym zdjęciu, jak wygląda twarz małej laleczki, której mama tłumaczy cierpliwie i łagodnie, że nie jest wcale mamą, tylko panią? A ten pan, to wcale nie tato, tylko pan?

Więc na nie zrobionym zdjęciu powinna być twarz małej laleczki, która przestaje być laleczką, która dowiaduje się, że ona nie ma, ani nigdy nie miała rodziny: matki i ojca, która dowiaduje się, że kochała ludzi obcych, więc, że niepotrzebnie ich kochała, że wszystko okazało się niepotrzebne, nieprawdziwe, że wszystko było od początku oszukane. Więc na tym nie zrobionym zdjęciu powinna być twarz małej dziewczynki imieniem Ela, która słucha niepojętych dla niej rzeczy, ale która zaczyna je pojmować, rozumieć. Nie ma ELI, NASZEJ CORECZKI. Nigdy jej nie było. Zmyślono ją sobie. Więc chociaż dziewczynka imieniem Ela nie rozumie słów: stosunek o adopcję został rozwiązany, to rozumie: jest odtąd nieczyja i zawsze była nieczyja, i będzie nieczyja. To mogłoby być ciekawe zdjęcie, szkoda, że nie zostało zrobione.

I wielka szkoda, że nie ma tego drugiego zdjęcia. Nazwać by je

można: ELA GOTOWA, CZEKA, Ela gotowa, czeka. Ela ubrana wciąż w drogi płaszczek, już leciutko przykrótki i w drogą sukienkę, Ela, gotowa, czeka aż pani skończy pakować jej rzeczy. Pani, oczywiście, nie życzy, aby jej prawdziwa córka nosiła sukienki po cudzej, stać ją na to, aby prawdziwej kupić jeszcze ładniejsze i jeszcze droższe; a Ela będzie miała przecież piękną pamiętkę — wspomnienie. Być może, że w Domu Dziecka inne dzieci oglądając starymi zapakowane sukienki i rzeczy Eli będą jej zazdrościły, może pomyślą, że Ela to szczęściara, która urodziła się pod szczęśliwą gwiazdą. Nie wiadomo, co powiedzą dzieci z Domu Dziecka. Nie wiadomo, co powie im dziewczynka, imieniem Ela. W każdym razie Ela gotowa, czeka, Pani podaje walizkę panu pochyla się nad Ela, ma lzy w oczach; pan bierze walizkę, otwiera drzwi, wychodzi z dziewczynką imieniem Ela, którą za chwilę odwiezie swoim pięknym samochodem pod sam Dom Dziecka. Trzeba przyznać, że powrót do Domu Dziecka dziewczynki, imieniem Ela, jest rzeczywiście wspaniały.

PIŁKARSKIE SZALEŃSTWO

Przed kilku laty cały świat zelektryzowała wiadomość o — jak ją nazywano — „piłkarskiej wojnie” między Salwadorem a Hondurasem. Doszło do przelewu krwi. Bezpośrednią przyczyną konfliktu był mecz piłkarski między tymi państwami, krzywdząca — zdaniem kibiców — porażka jednej ze stron. Na tym tle wywoływały się ludzkie namiętności, rzeźmy i urojone krzywdy, już nie sportowe, a polityczno-społeczne, które doprowadziły do wybuchu wojny.

Ktoś powiedział: „Wiek XX symbolizuje rozbiście atomu i ogarniające ludzkość szaleństwo piłkarskie”. Jest w tym porównaniu wiele przesady, bo piłka nożna, mimo stale rosnącej popularności, nie ma i nie będzie miała takiego wpływu na rozwój ludzkości, jaką wywarło rozbiście atomu. Niemniej od szeregu lat piłka nożna wkracza coraz szerzej w sferę stosunków społecznych. Rzuca ona nie tylko na stan psychiczny kibiców, staje się rozrywką dla wielotysięcznych tłumów, ale także hamuje lub wyzwala moce produkcyjne.

W tym co powyżej napisałem nie ma krzywej przesady. Na Śląsku swego czasu przeprowadzono badania wpływu piłki nożnej na wydajność pracy i stwierdzono, że górnicy znacznie lepiej fedrują węgiel, kiedy ich drużyna odnosi sukcesy na boisku. Podobne objawy występują w innych regionach, w tym także i w Łodzi. Bardzo wymowny jest przykład Piontka, górnika, który po wypadku przez kilka dni przebywał na dole kopalni, a kiedy dotarła do niego ekipa ratownicza nie omieszczał zapytań: „Czy piłkarze Górnik z Zabrze wygrali z Manchesterem?”.

Znany teoretyk piłkarski, Węgier Arpad Csanadi tak pisze o przyczynie popularności piłki nożnej: „Pociąg do gier sportowych, zarówno u dorosłych jak i młodzieży, jest ogólnie znany. To, że skłania on szczególnie ku piłce nożnej, tłumaczyć można niebywałą różnorodnością form, charakteryzującą tę grę. Duże stosunkowo boisko daje możliwość rozwinięcia niezliczonej ilości kombinacji — tak w przestrzeni jak i w czasie. Widz może delektować się ko-

lejno meczami, gdyż w żadnym z nich nie napotyka doświadczenia takich samych sytuacji. W każdym momencie gry zarówno gracz, jak i widz przeżywają coraz to nowe emocje”.

Nic dodać, nic ująć. Wielotysięczne tłumy ciągną co soboty i niedziele na stadiony, aby przeżywać niepowtarzalne zjawiska zachodzące w grze piłkarskiej, dawać upust radości lub goryczy. Kibic, kibicowi nie jest jednak równy. Są smakosze, znawcy przedmiotu, którzy delektują się pomysłowymi zagraniami, pięknymi strzałami, są i tacy — tych jest zdecydowana mniejszość, których jedynym celem jest chęć publicznego wyżycia się (nie zawsze w kulturalnej formie), są wreszcie kibice, którzy interesują się piłkarstwem poprzez wypełnianie kuponów PP Totalizator Sportowy i oglądanie meczów na ekranach telewizyjnych. Casy ten ogromny światek interesuje się jednak na swój sposób piłką nożną, stanowi ona ich nieodłączną część życia.

Niewątpliwie, dużą rolę w spopularyzowaniu piłki nożnej odegrała telewizja. Dzięki właśnie telewizji ta dziedzielnica sportu zyskała nowe szeregi zwolenników. Nawet nasze babcie, które się sportem w ogóle w swym życiu nie in-

teresowały, siadają obecnie przed telewizorami, aby z bijącym mocno sercem siedzieć losy piłkarzy Górnik, czy Legii. Do tego dochodzi poczucie dumy narodowej. Piłka nożna stała się też naszym ambasadorem w wielu krajach świata, utorowała drogę polskiemu handlowcom i politykom — szczególnie w krajach Ameryki Południowej, gdzie futbol jest niemal bawo- chwalczo traktowany.

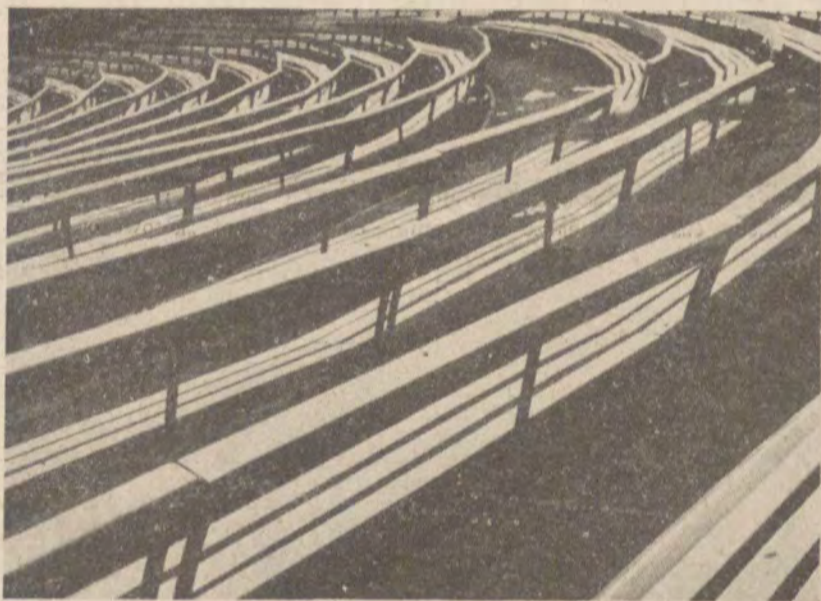
Wróćmy w swych rozważaniach na łódzkie podwórko. Zapotrzebowanie społeczne w naszym mieście na dobrą piłkę nożną jest bardzo duże. Na bardziej atrakcyjnie zapowiadających się meczach LKS pojawia się na trybunach 40 tys. widzów. A trzeba sobie uświadomić, że LKS reprezentował dotychczas tylko II ligę. Co to się będzie działo, gdy pupile Łodzi walczyć będą w ekstraklasie dla przykładu z zabrskim Górnikiem? Już dziś trzeba myśleć o powiększeniu trybun na stadionie przy al. Unii.

LKS spełnił wreszcie po 3 latach życzenie swych wiernych sympatyków i awansował do I ligi. Ten kto się trochę na piłce nożnej wyznaje, ten zdaje sobie sprawę z tego, że w tym zestawieniu co obecnie, LKS nie odegra poważniejszej roli w ekstraklasie. Trzeba więc wzmocnić poszczególne, słabsze człony zespołu, aby mógł on skutecznie rywalizować w gronie najlepszych. W samej Łodzi jak i naszym województwie nie mamy w tej chwili tak wartościowych piłkarzy, aby mogli oni z powodzeniem występować w ekstraklasie. Trzeba więc szukać posiłków gdzie indziej. Nie wstydzmy się tego. Tak robią wszyst-

kie czołowe zespoły świata, które ściągają do siebie najwybitniejsze talenty piłkarskie, zapewniając swym kibicom dobre widowisko.

Przed laty eksporterem talentów piłkarskich na całą Polskę był okręg śląski. Dzięki importowi z Katowickiego piłkę nożną na przywoitym poziomie miał Gdańsk, Szczecin, korzystała z tego dorobku również Warszawa i Łódź. Później jednak Śląsk zablokował eksport piłkarski i teraz dusi się we własnym sosie. Gros drużyn pierwszoligowych znajduje się bowiem na tym terenie, ale i tak nie są one w stanie — praktycznie rzecz biorąc — wchłonąć w swe szeregi całej zdolnej młodzieży. A mogłaby ona z powodzeniem podnieść na wyżyny piłkę nożną na bardziej zaniedbanych piłkarsko terenach kraju.

Nie mam zamiaru poddawać dziś głębszej analizie przyczyn długotrwałego marazmu panującego w łódzkim piłkarstwie. Składa się na to wiele obiektywnych i subiektywnych powodów — od szkolenia zaplecza począwszy, a na organizacji zarządzania i kierowania piłkarstwem skończywszy. Przeciętnego kibica nie interesują te problemy. On chce oglądać dobre widowiska piłkarskie i ma prawo wymagać od określonych instytucji, aby mu taką godziwą rozrywkę zapewniły. Płaci za to nie tylko w postaci kuponu biletu na mecz, ale i swą codzienną pracą przy warsztacie. Bo dodatkowy dochód społeczny przez niego wypracowany idzie również, między innymi, na zapewnienie prawidłowego rozwoju piłki nożnej!



TRYBUNA OBYWATELSKA NR 2

W sześć tygodni po pierwszej edycji Trybuny Obywatelskiej mieliśmy 14 lipca szansę oglądać drugi program z tego cyklu. Tym razem z widzami w całym kraju spotkał się sekretarz KC PZPR Kazimierz Barcikowski w otoczeniu ekspertów na ministerialnym szczeblu. Tematem rozmowy obywatel — władza była tym razem problematyka wsi i gospodarki rolnej.

Jak poinformowano nas w czasie programu, do telewizji wpłynęło ok. trzech tysięcy listów z pytaniami kierowanymi do sekretarza KC, zaś w ciągu półtoragodzinnej emisji telefonistki zainstalowane w studio na Woronicza przyjęły ok. 600 rozmów od widzów ze wszystkich województw. Tę ilość limitował nie tylko czas, ale także liczebność i przekrój kabli telefonicznych, a także związana z tym przekrojem pojemność kabli.

Nie miejsce w naszym felietonie streszczać przebieg drugiego programu Trybuny Obywatelskiej. Na co mnie jedynie stać, to na skrócenie kilku refleksji, jakie nasuwały mi się podczas oglądania i słuchania emisji.

Nie wiem, czy celowo realizatorzy drugiej Trybuny Obywatelskiej włączyli w warstwę dźwiękową programu głosy telefonistek przyjmujących połączenia z kraju. O ile pamiętam, w pierwszym programie nie było ich slychać, wszelkie szmery były wytłumione. Tym razem głos Kazimierza Barcikowskiego brzmiał na tle odległego szumu, w który sumowały się słowa wypowiadane przez ponad dwadzieścia telefonistek.

Efekt tego był znakomity. Szmer głosów telefonistek utrzymywany był na tym poziomie, że nie utrudniał odbioru słów wypowiadanych przez K. Barcikowskiego. Jednocześnie jednak stanowił znakomity akompaniament, który przez cały czas przypominał, że nie mamy do czynienia z monologiem przedstawiciela najwyższych władz partyjnych, ale z rozmową dwustronną. Za tym szmerem krył się cały kraj, który żywo uczestniczył w programie.

Błędem byłoby traktować Trybunę Obywatelską jedynie jako atrakcyjny program telewizyjny. W ten sposób zawężiliby się jej rolę do dobrego wypełnienia pewnego wycinka czasu na antenie. Ważna jest funkcja informacyjna Trybuny, jej dwukierunkowość. Telewidzowie usłyszeli wiele interesujących informacji dotyczących zamierzeń władz partyjnych i państwowych w różnych dziedzinach życia wsi, a sekretarz KC i osoby mu towarzyszące — liczne sygnały i informacje zacerpnięte z autentycznego życia.

Ale i to jeszcze nie wyczerpuje problemu. Każdy się zgodzi chyba ze mną, że przed grudniem 1970 roku program typu Trybuna Obywatelska byłby niemożliwy. U podstaw jego leży bowiem zaufanie, obustronna chęć porozumienia się. Jest więc Trybuna Obywatelska widownym znakiem przemian, jakie zaszły i zachodzą w naszym kraju po VII i VIII Plenum. Nowe kierownictwo nie stroni od konfrontacji swych poglądów z opinią narodu, lecz przeciwnie, do takich kontaktów dąży.

Przeglądałem się uważnie towarzyszywoi Barcikowskiemu podczas ostatniego programu. Był skupiony, rzeczowy, a jednocześnie nie odświętny. Nawet w kończących program apelach nie popadł w patetyczność, czy dostojność. To była zwykła, normalna rozmowa, tyle że z użyciem pośrednictwa aparatury telewizyjnej.

Nie mogłem wyzbyć się wrażenia (tu sumuję już obserwacje z obu Trybun), że członkowie kierownictwa partyjnego także się podczas tego programu czegoś uczą. Uczą się codziennego, powszedniego typu kontaktowania się z narodem, którego immanentną częścią przecież stanowią. W takiej bezpośredniej rozmowie występują i występują będą w przyszłości ważne elementy nastrojów, jakie panują w kraju, wśród mas pracujących. Odsianiane będą różne objawy wynaturzeń w naszym życiu społecznym.

Prowadzący Trybunę red. Szulcowski powiedział, że sekretarz KC Barcikowski zdecydował, w jaki sposób załatwione będą sprawy poruszone w listach i telefonach obywateli. Z pewnością już w tej decyzji zawarte będą elementy nowego stylu rządzenia, który rodzi się na naszych oczach.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

O włoskim filmie „DZIĘKUJE, CIOCIU” czyta się raczej dobrze w fachowych periodykach filmowych, ale te pozytywne oceny — jak i sam film — budzą irytację. Zatem gwoli jakiej takiej obiektywności odnotujmy, że krytyka uważa „Dziękuję, ciociu” za „wysmienity debiut” młodego (ur. 1944) reżysera, Salvatore Samperiego, który jawi się jako twórca o „niezaprzeczalnym zmysle filmowym i zadziwiającej błyskotliwości w

sferze satyry moralnej i społecznej”. Odnotujmy dalej, że sam Samperi kreuje się na artystę politycznego, lewicowego kontestatora, oznajmiając wyraźnie w jednym z wywiadów:

„Wybierając temat mojego filmu (...) chciałem w ten sposób zacząć polityczną dyskusję. Jeśli się ma własne przekonania, to trzeba się włączyć, zajmować kanały masowego przekazu, podzucać swoje własne bomby, atakować istniejące normy życia.”

W innym wywiadzie Samperi podał, iż jest „pod-produktem” Marco Bellocchio, autora znakomitego nonkonformistycznego filmu sprzed lat sześciu, „Pieśń w kieszeni” (zresztą z tym samym świętym aktorem, Lou Castellem, w roli głównej). Ma także za swoich nauczycieli Josepha Loseya („Służący”) i Luisa Bunuela.

Widąc z tego, że Samperi mierzy wysoko i trafia do przekonania krytykom, którzy potrafili wykryć w jego filmie polityczne, społeczne i moralne głębie.

Samperi Wasz recenzent nie potrafi. Samperi kreśli w swoim filmie, prawda że sprawnie, portret młodego potwora, dziedzica wielkiej, fabrykanczej fortuny. Ten bohater symuluje paraliż i pasyżuje na uczuciach innych ludzi tak, jak jego ojciec na ich pracy. W miarę rozwoju akcji narastał we mnie gniew — na bohatera za jego bezkarność, na jego głupio dobre otoczenie. I oczywiście na reżysera, za razem współscenarzystę.

Lecz zanim wytłumaczę się z gniewu na Samperiego, małe zastrzeżenie. Może złość, jaką budził ten film, jest zamierzona, leży w jego zamiśle i stanowi o demaskatorskiej wymowie?

Nie. Jednak nie. Wynalezionej w tym filmie przez innych krytyków i cytowanej na początku „błyskotliwości w sferze satyry moralnej i społecznej” przeczy moim zdaniem okliwio-słodkie zakończenie. Słodczy eutanazji? Mój Boże, czy mamy współzudzić potworowi, że zażądał śmierci, że znużdziło mu się pasyżnictwo?

Wydaje mi się, że w „Dziękuję, ciociu” powraca temat autodestrukcji, podjęty wcześniej na tym samym

przykładzie bogatej młodzieży mieszczańskiej przez dwóch tytanów włoskiego kina, Felliniego i Viscontiego. Tyle, że Fellini czynił to (w „Słodkim życiu”) i w „8 i 1/2”) z przenikliwością psychologiczną i umiał dać dziełu wewnętrzną prawdę mimo sztafażu zewnętrznego, w którym pełne fantazji nierealne raz po raz przeplatało się z realnym. U Samperiego motywy postępowania postaci są albo niejasne albo patologiczne. To, jak również sposób narracji, sprawia, że w czasie oglądania „Dziękuję, ciociu” przypomina się „Zmierzyć bogów” Viscontiego; kazirodczy i sadystyczny, mówiący o rzeczach, o jakich nie śni się normalnemu człowiekowi.

Oto popluczyny po Fellinim i Viscontim, które chcą uchodzić za przejaw kontestacji (inaczej nonkonformizmu i buntu) młodszej czyli współczesniejszej. Zapierając się rzeczywistych mistrzów powołują się, niby skromnie, na innych... Przypadłoby się lanie, jeśli nie Samperiemu, to na pewno jego młodzieńczemu bohaterowi. Bo gdyby domniemanemu paralitykowi Alvisie nie podano ulubionego pstrąga w czekoladzie, czy nie musiałby wstać z fotela na kółkach, iść zwyczajnie do pracy i przestać absorbować Samperiego i widzów?

* * *

KOMEDIĘ francusko-włoską „ZANDARM SIĘ ZENI” trzeba przyjąć wdzięcznym sercem, gdyż przenosi nas w świat reakcji ludzkich zrozumiałych i od lat, co mówię, od wieków, stanowiących dobry

powód do śmiechu. Obłudna uniżoność podwładnych wobec zwierzchników, pycha — i te iskry, które spajają z sobą dwie dionie i dwa serca (na ekranie widać je, iskry, dokładnie) — jakże miło zobaczyć to wszystko znów w epoce komputerów, krądowników szos i mini-spódniczek.

Myślę, że właśnie ze względu na ową staroświeckość bohaterów, która w danym wypadku oznacza, powtórzmy, przywary niedwuznacznie zrozumiałe, seria o żandarmie Cruchoth cieszy się takim powodzeniem u francuskich widzów. Reżyser Jean Girault zrealizował już cztery filmy o Cruchothie, obecnie kręci piąty, a do polskiego widza trafia — w chronologii życiowych i mairymonalnych perypetii Cruchothi nie pierwszy — film uwiefcony ślubem. Naturalnie, do sukcesu serii przyczynia się również, a może przede wszystkim, okropnie próżny, lecz sympatyczny i dzielni Louis de Funes w roli Cruchothi. Opowieść o jego przygodach przebiega w myśli utartych, więc także nie powodujących zamieszania w umyśle odbiorcy, reguł dramaturgii i kończy (co jest wynalazkiem komedii filmowej już klasycznym) brawurą gonitwą samochodów przez góry, doliny oraz morze. Na uwagę w pokazanym nam odcinku serii zasługują znakomita, dynamiczna fotografia, kadraż tak gładki, zręczny i swobodny, że wydaje się, jakbyśmy oglądali świat ekranowy bez pośrednictwa kamery.

Posmieje się z mundurowych urzędników a la bohaterowie Gogola i zakochanych miłośców Mniszkówny istniejących, ba, prosperujących świetnie we współczesności.

JOLANTA MACH



Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

„NO, NO, NANETTE” — CZYLI O NOSTALGICALACH

Sześćdziesięcioletnia Lillian Roth fika nóżkami w musicalu „70, Girls, 70”, Ruby Keeler, starsza od niej o rok, steruje w musicalu „No, No, Nanette”, a Ethel Shutta licząca lat siedemdziesiąt cztery tańczy swinga i śpiewa w musicalu „Follies”.

Starość nie liczy się na Broadwayu — podziarowuje sobie reporter Fritz Rumler w hamburskim ty-

świećło triumfy na Broadwayu w roku 1925. Amerykanie, oczywiście nie wszyscy, ale pewnie ich grupy, bawili się tu w latach dwudziestych. Aż do wielkiego kryzysu w roku 1929 na Broadwayu szeroka fala płynęła pieniędzy. Prohibicja otwierała ogromne możliwości zarobku zorganizowanym szajkom przestępczym i gangom, zwłaszcza wobec korupcji policji. Gangster O'Banion, który podobno miał na sumieniu 25 morderstw został pochowany z honorami w roku 1924 w srebrnej trumnie. Broadway się bawił. Wiele z dziewcząt występujących na scenach tej dzielnicy było kochankami gangsterów. W połowie lat dwudziestych wystawiano na Broadwayu około dwustu nowych widowisk. Budowano nowe teatryki.

Obecnie musical „No, No, Nanette” wystawiono kosztem pół miliona dolarów. Sukces jest nie mniejszy niż w roku 1925. Widowisko chwali prasa i publiczność. Bilety są do nabycia jedynie u „koniaków” — widać i tam kwitnie ten proceder — w cenie ok. 25 dolarów za sztukę. „No, No, Nanette” — wołają przyjaciele Nanette, bohaterki musicalu. Dzieci, czyna chce iść na zabawę w kapieliściu, aby tańczyć zharlestona. Nic w tym złego, ale Nanette wybiera się sama. „Nie, nie, Nanette” — nie wypada iść porządnej dziewczynie na zabawę bez narzeczonego.

Najlepszym nostalgicalem jest podobno „Follies”. Łączy on w sobie nostalgicę z jej krytyką, dawny, przelodzony styl z nowym ironicznym spojrzaniem, a równocześnie przyciąga wspaniałą parada gwiazd i wystawę rewlową, nadając nowy blask i życie staremu musicalowi sprzed lat trzydziestu.

W zeszłym roku Bazylię podjęła interesująca inicjatywę zorganizowania pierwszych wielkich mię-

dzynarodowych Targów Sztuki Nowoczesnej. Organizatorzy zechcieli zeszłorocznym sukcesem targów, nazwanych w skrócie „A i 170”, urządzić i w tym roku podobne — „Art 271” trwające w dniach od 24 do 29 czerwca.

O rozmiarze tej imprezy świadczy najlepiej fakt, że wzięły w niej udział sto trzydzieści dwie galerie sztuki z różnych krajów.

Na Targach znalazła się też ogromna ilość wydawnictw poświęconych sztuce (około 800 tytułów z pro-

dukcji ostatniego dziesięciolecia). Targi nie miały charakteru wystawy w sensie tradycyjnym. Stały się natomiast znakomitą okazją do porównań, ocen, zorientowania się w światowym handlu dziełami sztuki, przekonania się o tendencjach znikomych czy zwykłych takich czy in-



Grafika Uwe Lausena

Na początku lipca zmarł Louis Armstrong zwany „królem jazzu”. Parę dni przed śmiercią opuścił on szpital, gdzie przebywał śledem miesiący po ataku serca. Czuł się do tego stopnia dobrze, że wziął jazzu.

Jeśli kiedykolwiek życie jakiegos artysty mogło się związać z dziełami jego sztuki to właśnie życie Louisa Armstronga spłodziło się nierozłącznie z historią stopnia dobrze, że wziął jazzu.



Obraz Jeana Dubuffet

W zeszłym roku Bazylię podjęła interesująca inicjatywę zorganizowania pierwszych wielkich mię-

Jeśli kiedykolwiek życie jakiegos artysty mogło się związać z dziełami jego sztuki to właśnie życie Louisa Armstronga spłodziło się nierozłącznie z historią stopnia dobrze, że wziął jazzu.

NAJSTARSZA MUMIA ŚWIATA

Ostatnio w Gizeh (przedmieście Kairu znane z istnienia grobowców faraonów odkryto mumie, która ma cztery i pół tysiąca lat. Jest to najstarsza mumia jaką dotąd udało się odkryć. Mumia znajdowała się w pobliżu jednej z piramid w starannie ukrytym, podziemnym grobowcu. Na podstawie hieroglifów na ścianach grobowca udało się archeologom dowiedzieć kim był ów zabalsamowany człowiek. Nazywał się on Nafr i był nadwornym kapłanem faraona Ni Osen Ra. Według orzeczenia uczonych mumia znajduje się w doskonałym stanie, ma nawet całą „nie uszkodzoną i gładką skórę”. Mumia ta jest starsza o blisko tysiąc lat od słynnej mumii faraona Tutenchamona, władcy z osiemnastej dynastii.

KRÓL JAZZU NIE ŻYJE

Jeśli kiedykolwiek życie jakiegos artysty mogło się związać z dziełami jego sztuki to właśnie życie Louisa Armstronga spłodziło się nierozłącznie z historią stopnia dobrze, że wziął jazzu.



Jeśli kiedykolwiek życie jakiegos artysty mogło się związać z dziełami jego sztuki to właśnie życie Louisa Armstronga spłodziło się nierozłącznie z historią stopnia dobrze, że wziął jazzu.

Jeśli kiedykolwiek życie jakiegos artysty mogło się związać z dziełami jego sztuki to właśnie życie Louisa Armstronga spłodziło się nierozłącznie z historią stopnia dobrze, że wziął jazzu.

Jeśli kiedykolwiek życie jakiegos artysty mogło się związać z dziełami jego sztuki to właśnie życie Louisa Armstronga spłodziło się nierozłącznie z historią stopnia dobrze, że wziął jazzu.

Jeśli kiedykolwiek życie jakiegos artysty mogło się związać z dziełami jego sztuki to właśnie życie Louisa Armstronga spłodziło się nierozłącznie z historią stopnia dobrze, że wziął jazzu.



Musical „70, Girls 70”

godniku „Der Spiegel” opisując sezon na Broadwayu, gdzie ostatnio zapanowała niepokromiona tęsknota za „dawnymi, dobrymi czasami”. Wystawia się stare, sprzed lat trzydziestu i „nostalgical”, równa więcej, musicalu, odszukuje gwiazdy i gwiazdki tamtej epoki, dawne girls i sex-bomb, które mają już wnuków, stały się od daw-



Nostalgical „No, No, Nanette”

W NIEDZIELI DO NIEDZIELI ŁÓDŹ W MALARSTWIE

KSIAŻKA NA ROCZNICĘ — OBRAZ JAKO FAKT KULTUROWY — MALARSKIE WIZJE MIASTA — BRAK DOKUMENTACJI — ZWIĄZEK ARTYSTÓW Z ŁODZIĄ — AUTOR JAKO DETEKTYW — CZĄSTKA NASZEGO UDZIAŁU

Za dwa lata Łódź święcić będzie 550-lecie otrzymania miejskich praw lokacyjnych i na pewno z tej okazji ukaże się sporo ciekawych publikacji. Już dziś zresztą biblioteczka złożona z książek poświęconych Łodzi jest dość spora, choć wiele jest jeszcze tematycznych białych plam...

Jedną z takich właśnie luk wypełni niewątpliwie książka — album, zaplanowana przez znanego z łamów „Odgłosów” — Andrzeja Gruna. Myślę, że na marginesie tego zamierzenia edytorskiego warto powiedzieć parę słów. Otóż Grun opracowuje książkę „Łódź w malarstwie i grafice” i będzie to dla tradycji kulturalnych miasta dość ważki

dokument. Panuje bowiem powszechne przekonanie, że Łódź była (i jest) miastem „niefotogenicznym”, że łódzkiemu pejzażowi artyści nie poświęcał zbyt wiele uwagi. Jest to oczywiście nieprawda. Łódź jest i była od lat tematem obrazów i grafik — jeśli mozolnie pozbiierać te wszystkie prace, zaczęta urastać nam wielka księga. To nie tylko cykle miejskie Strzebińskiego, nie tylko Hiller czy Adler, ale dziesiątki prac malarzy mniej znanych, to dziesiątki obrazów rozproszonych po prywatnych mieszkaniach, prac może nieraz mniej istotnych w sensie artystycznym, ale istotnych jako fakt kulturowy, jako dokument. Czasem te stare obrazy

dawnych malarzy są dokumentem nie tylko w sensie kulturowym, ale dosłownie — często nie ma już domów, pałaców, fabryk, utrwalonych na płótnie czy kartonie; pozostała tylko ich malarska wiza.

To wszystko powinno się znaleźć w książce-albumie, pierwszej tego rodzaju publikacji sumującej dorobek łódzkiego środowiska plastycznego. Zdaje sobie sprawę, że autor wykonuje tu robotę ogromną. Przy okazji warto powiedzieć, że na przykład nikt w Łodzi, żadna instytucja łącznie ze Związkiem Polskich Artystów Plastyków nie posiada dokumentacji wystaw za całe dziesięciolecie 1945—1955. Żeby te lata nie umknęły pamięci, żeby dokonania plastyczne i ekspozycje tych lat znalazły swe odbicie w książce trzeba nie lada szperackich, detektywistycznych wprost zabiegów.

Stąd apel do wszystkich — do rodzin niezujących już artystów, do ludzi posiadających obrazy i grafiki przedstawiające Łódź, do samych artystów wreszcie, którzy Łódź malują czy malowali... Jeśli książka „Łódź w malarstwie i grafice” ma być możliwie wiernym odbiciem tego, co plastycy na temat miasta stworzyli — konieczne jest współdziałanie wszystkich

zainteresowanych. Stąd gorący apel do wszystkich. Nadsyłajcie na adres „Odgłosów” wszelkie możliwe informacje, dotyczące obrazów i grafik o tematyce łódzkiej.

Stosunkowo najłatwiej skatalogować dorobek lat ostatnich, zwłaszcza, że było parę wystaw tematycznych, jakiś jeden czy drugi konkurs plastyczny... Książka ma być jednak sumą tych dokonań na przestrzeni co najmniej pół wieku i dlatego tak potrzebna, tak nieodzowna jest współpraca szerokiego kręgu artystów, kolekcjonerów i miłośników sztuki. Nie bardzo wiem, jaka w tej zbierackiej, poszukiwawczej pracy powinna być rola Związku Polskich Artystów Plastyków... Wiem, jednak na pewno, że właśnie Związek najbardziej jest zainteresowany w publikacji książki dokumentującej twórczość dorobek artystów tego miasta. Dorobek widziany co prawda wycinkowo, tematycznie, ale przecież jakże dobitnie zaprzeczający mitom i poglądom na temat nieatrakcyjności, niemalarskości łódzkiego pejzażu: dokument tego tematycznego dorobku mówić także będzie o wieloletnim związku artystów z Łodzią, związku nie formalnym, geograficznym, ale twórczym, arty-

stycznym, owocującym dziełami plastycznymi. Naprawdę dobrze się stało, że Wydawnictwo Łódzkie podjęło edytorski trud takiej publikacji. Dobrze się stało, że artysta i krytyk plastyczny, Andrzej Grun, podjął trud opracowania malarskiej i graficznej księgi naszego miasta. Szukając analogii w literaturze książka Gruna powinna być czymś w rodzaju antologii i bibliografii Ludwika Stolarzewicza.

Aby jednak uniknąć błędów i przeoczeń, jakich nie uniknął przed laty Stolarzewicz, katalogując łódzką literaturę, potrzebna jest szeroka współpraca tych wszystkich, których sprawy kultury i historii kultury w Łodzi żywo obchodzą. Dlatego raz jeszcze apeluję! Wszystkie informacje, dotyczące prac i artystów związanych z tematem „Łódź” proszę nadsyłać na adres: Andrzej Grun, Łódź, tygodnik „Odgłosy”, ul. Piotrkowska 96.

JERZY WIDOK

Bez strachu

GAZ

Ze wszystkich rzeczy groźnych, które mnie otaczają (wcale nie otaczają — zbliżają się klinami, zatem w kołisku dookoła mnie przestrzenie niegroźne) jest gaz, gaz świetlny, gaz, kuchenny, gaz że tak powiem grzejny. Trudno mi było kiedyś dzielić ludzi, którzy mnie odwiedzali, z uwagi na stopień powagi. Otóż dzięki temu, że gaz u mnie lekko się ulatnia, znalazłem nową zasadę podziału: poważny jest ten, który najuważniej węży. Prawie każdy z odwiedzających mnie węży w korytarzu bardziej lub mniej pracowicie, wnikliwie i mówi: „Czuję u ciebie gazem”, „Uważaj, ulatnia się”, „Śmiejesz się, a pewnego ranka nie obudzisz się i co będzie?”. Najbardziej wzruszył mnie pewien przyjazny starzec, który po otwarciu wszystkich okien opowiedział miś pewnej nieszcześliwej rodziny. W rodzinie tej, mieszkającej spolem, byli starcy z których ust płynął miód, były kobiety i dziewczęta tak cudne, jak kwiaty, mężczyźni odważni jak lwy. Jednak w tej rodzinie tak wartościowej estetycznie, etycznie, intelektualnie, społecznie nikt nigdy nie wężył. Nie zmieniali także przez wiele lat węza gumowego, łączącego kuchenkę z rurą gazową. Otóż wąż ten był nasycony, a nawet przesycony gazem. Zaczyna rodzina upierała się, że to swojski domowy wąż, niemal oswojony, niemal członek rodziny. Otóż pewnej nocy wąż przepuścił większą niż zazwyczaj porcję gazu i uśmiercił rodzinę. Leżeli pokotem czcigodni starcy, piękne kobiety, odważni młodzieńcy — tak, byli ezcigodni, piękni, odważni jednak nie umieli wężyć. Skończywszy tę opowieść starzec rozplakał się. Jednak jego piacz nie był długi — przeszkadzał mu bowiem w wężeniu. Starzec był wielkim opowiadaczem: siedzieliśmy obok siebie na tapczanie — ja plakałem, a on wężył. „Węż” — mówił starzec przerywając lkanie, „węż chłopce u siebie i u innych, jak inaczej rozpoznasz, czy gdzieś nie ulatnia się gaz, jak odnajdziesz węza przesyconego? Węż i otwieraj okna nawet, jeżeli domownicy przeziębiali, nawet, kiedy stawi ich zapalenie płuc; kiedyś będą ci dziękować, jeżeli nie oni, to ich potomkowie”.

BERNARD SZTAJNERT

SZKARŁATNY POCAŁUNEK

Dalszy ciąg z poprz. numeru

— Panie mecenasie, pójdźmy porozmawiać z tą panią.

Gdy zbliżali się do windy wyszła stamtąd młoda i przystojna kobieta. Idąc korytarzem przyglądała się numerom na drzwiach.

— Kogo pani szuka? — zapytał porucznik.

— Cyriła Browna, jestem jego żoną.

— Mąż pani został zamordowany.

Kobieta przeraziła się. — To niemożliwe!

— Ktoś wsypał truciznę do szklanki z winem.

— Mój mąż... Trudno w to uwierzyć. Chciał się ze mną rozwieść, był dla mnie niedobry.

— Inaczej mówiąc — nienawidziła go pani.

— Nie powiedziałam tego! — krzyknęła.

— Proszę zejść z nami na szóstą piętro.

Drzwi otworzyła Luiza Marlowe. Mason ukłonił się i zapytał chłodnym tonem jak ktoś obcy: — Przepraszam, że przychodzimy o tej porze, ale... Czy tu mieszka miss Allison?

— Tak — odpowiedziała Luiza uśmiechając się porozumiewawczo. — Fay Allison i Anita Bonas. Lecz nie ma ich w domu.

— Gdzie są? — zapytał Tragg.

— W szpitalu, zatruli się zepsutą żywnością.

— Jak się pani nazywa?

— Luiza Marlowe. Jestem ciotką Fay. Przyjechałam dziś wieczorem, aby... odwiedzić Fay.

— Muszę ją zobaczyć. Cyril Brown, który mieszka piętro wyżej został zamordowany. Fay widocznie mieszkała z nim, gdyż są tam jej rzeczy. Trzeba zbadać odciski jej palców.

— Co też za głupstwa pan opowiada.

— Proszę się uspokoić i podać adres szpitala.

— Fay leży w klinice Crestview.

— Chodźmy, chłopcy!

* * *

Della Street siedziała w gabinecie szefa. Mason był zaniepokojony. — Narobiło się kłopotów — rzekł do sekretarki. — Fay i Dan mieli się dzisiaj pobrać. Wczoraj wieczorem Fay i mieszkająca z nią Anita napily się czekolady, Fay wypila dwie filiżanki, Anita jedną. Płyn zawierał narkotyki, obie kobiety usnęły. Porucznik Tragg poszedł do szpitala i wziął od-

ciski palców Fay. Takie same znalezione na szklance na stole, podczas gdy ze szklanki na podłodze ktoś usunął wszelkie ślady, nawet Browna. Szała była pełna rzeczy Fay. Prasa donosi, że Dan już myśli o zerwaniu zaręczyn.

— Co wiesz o trójce osób spotkanych w korytarzu na siódmym piętrze?

— Jeden z nich to Ralston, wspólnik Browna. Wiedzieli o istnieniu „kawalerki”, grywali tam w pokera. Interesuje mnie, dlaczego Brown nie miał przy sobie klucza. Porucznik Tragg nie chce mi wierzyć, że to nie Brown dał mi klucz...

Następnego dnia rano zjawił się w biurze adwokata Dan Grover. Był to przystojny mężczyzna o czarnych włosach.

— Najpierw pragnę stwierdzić — zaczął Grover — że mimo ataków prasy kocham Fay i nie wierzę, że była kochanką Cyriła Browna. Proszę jej o tym powiedzieć.

— Dziękuję — rzekł Mason. — Chciałbym panu zadać kilka pytań. — Od jakiego czasu spotyka się pan z Fay Allison?

— Od czterech miesięcy. Poznałem najpierw Anitę, chodziłem z nią, potem z obydwoma koleżankami. W końcu zakochałem się w Fay.

— Czy spotykał się pan co wieczór z Fay?

— Nie.

— Co mówi Anita?

— Zapewnia, że to jest śmieszne oskarżenie i że zrobi wszystko, aby pomóc przyjacielce. Przynosiłem panu pieniądze, proszę bronić Fay. — Położył na stole grubą kopertę i wyszedł.

— A teraz zafunduję ci wspólną kolację — rzekł adwokat do Della po przeliczeniu pieniędzy.

Pojechali do ulubionej restauracji i usiedli w zacisznym kącie.

— Czego się jeszcze dowiedziałeś? — zapytała Della, gdy szef zaatakował soczysty befszyk.

— Niewiele. Muszę rozpracować ważny punkt w tej sprawie — trzech mężczyzn, spotkań na korytarzu, weszli do budynku, w którym brama była zamknięta na klucz. Ktoś z mieszkańców musiał otworzyć automatyczny zamek. Albo mieli klucze do bramy. Mam w biurze porozkładane zdjęcia mieszkania Browna, muszę je uważnie przestudiować.

Sędzia Jordan wstał i oświadczył, że posiedzenie jest otwarte.

— Oglądam postępowanie przeciw Fay Allison.

— Obrona jest gotowa — rzekł Perry Mason.

— Strona oskarżająca jest gotowa — powtórzył jak echo prokurator okręgowy Linn.

Stuart Linn posiadał encyklopedyczną znajomość zagadnień prawnych. Z jego stałowych oczu przebijała bezwzględność. Znal swego przeciwnika, adwokata Masona, i przygotował się do jego ataków.

— Jako pierwszego powołuję na świadka doktora Keene'a.

Lekarz podszedł do stołu sędziowskiego i złożył przysięgę.

— Czy pan zbadał trupa w mieszkaniu 702?

— Tak.

— Co pan znalazł?

— Zobaczyłem ciało mężczyzny około pięćdziesięcioletniego, grubego, łysiego, dobrze zakonserwowanego. Leżał na podłodze. Ustaliłem, że zmarł między godziną 19 a 21.

— Czy pan stwierdził przyczynę śmierci?

— Nie od razu, dopiero po przeprowadzonej analizie, która wykazała otrucie cjanidem potasu.

— Czy pan coś zauważył na ciele zmarłego?

— Na czole była czerwona plama, pozostawiona przez dotknięcie mocno uszminkowanych ust. Jakby ostatni pocałunek złożony przez kobietę.

— Czy chce pan przesłuchać świadka? — zwrócił się Linn do Masona.

— Nie mam pytań — odpowiedział Mason.

— Teraz wzywam na świadka Beniamina Harlana — zawołał Linn.

Harlan był ekspertem w sprawach odcisków palców, miał już dwudziestoletnie doświadczenie. Odpowiadając na pytania prokuratora Harlan stwierdził, że nie znalazł odcisków na „śmiercionośnej” szklance, co było dowodem, że została dokładnie wyczyszczona. Znalazł natomiast odciski palców na drugiej szklance, na szczerzeczce i paście do zębów oraz na innych przedmiotach. Odpowiadał one odciskom palców oskarżonej Fay Allison.

Harlan przedstawił sądowi zdjęcia wykonane w pokoju zamordowanego.

— Panie mecenasie, może pan teraz przesłuchać świadka — rzekł Linn uśmiechając się triumfująco.

— Panie Harlan, zdaje się, że posiada pan długoletnie doświadczenie w dziedzinie identyfikacji odcisków palców?

— Tak, panie mecenasie.

— Słyszał pan zeznanie doktora Keene w sprawie szminki na czole zmarłego. Czy to widać na fotografii?

— Tak, mam nawet powiększenie tego zdjęcia, jeżeli pana interesuje.

— Bardzo mnie interesuje — rzekł Mason. — Czy mógłby pan pokazać wszystkim to powiększenie?

Harlan wyjął fotografię z teki. Przedstawiała czoło Brow-

na z wyraźnie widocznym zarzysem warg.

— Jaki jest format tego zdjęcia?

— Wielkość naturalna — odpowiedział Harlan.

— Dziękuję. Chciałbym, żeby ta fotografia została załączona do akt.

— Nie zgłaszam sprzeciwu — oświadczył prokurator.

— Panie Harlan, pragnę zadać pytanie o charakterze technicznym: czy linie odcisku warg, widoczne na zdjęciu, można porównać do linii odcisków palców?

— Co pan chce powiedzieć?

— Czy bruzdy na wargach człowieka są równie charakterystyczne i różnicowane, jak odciski palców?

— Ten fakt nie jest zbyt znany.

— Ale jest faktem?

— Tak, panie mecenasie, jest.

— Czy przez dokładne zbadanie drobnych linii widocznych na tej fotografii można by zidentyfikować usta, które pozostawiły ten odcisk na czole, tak jak identyfikuje się osobę na podstawie linii papilarnych palców?

— Tak, można.

— Pan wziął odciski palców oskarżonej i porównał je z tymi, które były na szklance.

— Tak.

— Czy nie próbował pan porównać tak samo odcisków warg?

— Nie — odpowiedział Harlan, poruszając się niespokojnie na krześle.

— Dlaczego pan tego nie zrobił?

— Przede wszystkim dlatego, że fakt o możliwości zindywidualizowania warg nie jest wszystkim znany.

— Ale pan o tym wie?

— Tak.

— A inni wybitni eksperci?

— Też to znają.

— Dlaczego pan nie wziął odcisku warg oskarżonej celem porównania?

Harlan spojrział na prokuratora szukając pomocy.

— Proszę sądu — rzekł Linn zauważwszy spojrzenie świadka. — To przesłuchanie jest co najmniej niewłaściwe. Adwokat Mason nie trzyma się faktów. Wnoszę sprzeciw.

— Odrzucam sprzeciw — zawyrokował sędzia. — Świadek odpowie na pytanie.

— Nie pomyślałem o tym — wyjaśnił Harlan.

— Proszę więc teraz pomyśleć — rzekł Mason — i wziąć zaraz odcisk warg. Miss Allison, czy zechciałaby pani uszminkować usta?

— Proszę sądu — wtrącił Linn zdenerwowanym głosem — wnoszę sprzeciw. Adwokat Mason chce zrobić z pana Harlana swego świadka. To nie jest przesłuchanie, to są wykryty.

— Odrzucam sprzeciw — rzekł Jordan. — Niech pan weźmie odcisk.

Fay Allison uszminkowała usta i podeszła do Harlana. Ten wziął kartkę białego papieru i przycisnął ją do warg oskarżonej. Potem zaczął badać czerwony ślad.

— Proszę porównać oba od-



ciski i zakomunikować rezultat Wysokiemu Sądowi — rzekł Mason.

— Nie mam tu możliwości porównania mikroskopowego, lecz już po powierzchownym zbadaniu linii mogę orzec, że nie te usta pozostawiły ślad na czole Browna.

— Dziękuję panu — rzekł Mason. — Nie mam innych pytań.

Sędzia Jordan był mocno poruszony. — Czy te znaki warg różnią się u wszystkich osób?

— Tak, proszę Wysokiego Sądu.

— Naturalnie — zauważył Linn — fakt, że oskarżona nie pozostawiła śladu pocałunku na czole mężczyzny, nie podważa oskarżenia. Brown mógł zostać zabity właśnie dlatego, że miss Allison znalazła ślad szminki na jego czole. Poza tym inne osoby mogły zmienić rysunek odcisku — mam tu na myśli adwokata i jego uroczą sekretarkę. Aby poprzeć moją tezę proszę na świadka pana Ralstona.

Ralston usiadł na ławie świadków.

— Czy znał pan Cyriła Browna?

— Tak.

— Czy łączyły was sprawy handlowe?

— Tak.

— Dobrze. Dnia dziesiątego

bieżącego miesiąca po północy siedzi pan do mieszkania Cyriła Browna pod numerem 702. Czy tak?

— Tak, poszedłem tam.

— Która była godzina?

— Między 1 a 2 rano, może pół do drugiej.

— Czy był pan sam?

— Nie, byli ze mną jeszcze dwaj znajomi, panowie Nolin i Oagen, także związani finansowo z Brownem.

— Co zaszło, gdy zbliżaliście się do tego mieszkania?

— Gdy szliśmy korytarzem zauważyłem dwie osoby idące w naszym kierunku od strony mieszkania 702.

— Kto to był?

— Adwokat Mason i jego sekretarka Della Street.

— Czy weszli pan do mieszkania Browna?

— Nie.

— Dlaczego?

— Gdy zbliżyłem się do tego mieszkania nacisnąłem dzwonek. W tej samej chwili otworzyły się drzwi naprzeciw i jakaś kobieta zaczęła narzekać, iż nie może zasnąć, ponieważ inne osoby już przed nami dzwoniły do Browna. Powiedziała, że ktoś tam jest, więc odeszliśmy.

— Czy to jest, więc odeszliśmy.

— Tak.

— Dobrze. Dnia dziesiątego

Dalszy ciąg nastąpi

PO RAZ 350



Lewym
okiem

TYM RAZEM BAJKA

Był raz pewien wysoki Zarząd, czy też Urząd, a może Centrala...

Zostawmy jednak w spokoju zarządy, urzędy i centrala, a zajmijmy się raz w roku, w urlopowym czasie, zwyczajnym opowiadaniem bajek. Na przykład takich:

Był sobie raz w pewnym powiecie Leśnik zarządzający milionem hektarów lasu. Dodajmy od razu, że był to las niedyscyplinowany, krnąbrny i trudny do integracji: każde drzewo, choćby najmniejsze, zapuszczało własne korzenie i rosło albo nie rosło. Każde drzewo wybierało sobie samowolnie kształt liści i porę kwitnienia, świerki nie chciały poszerzyć swych igieł, buki — zrezygnować z pięknych,

ząbkowanych serduszek. Raz było w lesie zielono, raz żółto to znów biało. Raz przyrost masy drzewnej przekraczał wysoko wskaźnik planu perspektywicznego, kiedy indziej trzeba było w sprawozdaniach uwzględnić nawet chrust, żeby całość była do przyjęcia przez resort.

W okresach gdy las nie nadążał z rośnięciem, Leśnik, tłumacząc się gęsto przed wyższym organem ponaglał podległych sobie Podleśników, zwoływał odprawę, żądał, nakazywał, zabraniał. Ponieważ Podleśnicy nie składali na czas sprawozdań, a z tych, które składali, nie wynikało rośnięcie drzew ani nawet uzysk żywicy — Leśnik zwrócił się wprost do Gajowych. Wydawał Gajowym polecenia, nakazy, organizował odprawę, żądał składania szczegółowych meldunków wprost na swoje ręce, żeby szybciej, a to znaczy zapewne — skuteczniej. Dwoił się i troił, urzędniczeki sumowały, mnożyły i dzieliły liczby, nie pamiętając już nawet w nawale liczenia, że chodzi o jodły, dęby, zające, o grunty piaszczyste i skaliste, o epidemie jemioli i najazd muchy chojnówki. Cały aparat Leśnika składał się z niezmiernie ofiarnych pracowników, z nim samym na czele. Jednakże zdarzało się, że mnożono w pośpiechu mech przez paproc, sumowano lipe z dziewanną, obliczano ilość drzew na osobogodzinę do kwadratu. A las nadal nie rósł tak, jak powinien zgodnie z osiągnięciami nauki, skąd wypływał wniosek, że w gajówkach kulało przestrzeganie zarządzeń.

Nie było innej rady: Leśnik zabrał się bezpośrednio do drzewek. Skoro świt szedł do młodniaków, do zagajników, do biało-zielonych brzezinek zakasywał rękawy, zapierał się mocno w chwyty chwytając za koronę smarkatego świerczka, sosenki, jodełki — ciągnął w górę. Ciągnął a ciągnął, nie ustając w zapale.

Takie male drzewinki, chociaż male, mocno siedzą w ziemi i żeby nie wiem jak ciągnąć, nie stają się większe. Tyle, że przychodzi taki moment, kiedy już dłużej nie wytrzymują i z lekkim chrupnięciem korzenia pada świerczek czy brzośka czy osiczka na pulchną ziemię...

Zaraz, to miała być bajka z morałem. Ale z jakim? Ze milion hektarów to za dużo jak na powiat? Ze nie należy o świecie ciągnąć świerka za głowę? Ze — jeżeli ciągnąć — to kolektywnie? Ze zamiast ciągnąć — lepiej zrobić coś takiego, żeby drzewa musiały rosnąć? Na przykład...

Ba, nie znamy się na tym. Niektórzy mówią o melioracjach, przecinkach, spryskiwaniach; o tym, że jeśli przyskać — to Gajowi, którym Podleśnicy dają potrzebny sprzęt i metody, wymyślone przez Leśnika — który z kolei tylko dogląda, czy jego wymyślił ktoś po drodze nie przekreślił lub zgolił nie zgubił. A las rośnie wtedy jak w bajce. Tak mówią niektórzy.

Bo ja wiem...

CWIEK.